



PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

Nr 42.

Warszawa, dnia 9 (21) Października 1875 roku.

Rok 11.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu na prow. w Cesar. i Królest.	
rocznie rs. 6 k. „	rocznie rs. 8 k. —
półrocznie „ 3 „ „	półrocznie „ 4 —
kwartalnie „ 1 „ 50	w Austrii rocznie 14 guld.
miesięcznie „ „ 50	w Prusach „ 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY

wychodzi raz na tydzień, we Czwartek

REDAKCJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT
NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Świat Nr. 39 nowy; w Poznaniu w księgarni Leitgeb i Spółki, we Lwowie w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w Krakowie w księgarni A. Nowoleckiego, w Wilnie u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

TREŚĆ. Wysiłki bez poparcia. — Szpargali różnocośne p. Zohję z Brzozówki. — Z kroniki wynalazków. — Listy z zagranicy J. I. Kraszewskiego. — Korespondencyja z Krakowa. — Beethoven, przez Ernesta Ottelep. (d. c.) — Złota brama w Kijowie. — Szlachcie z gub. Kijowskiej w podróży. — Gawędy higieniczne. XIII. — Ślady życia XLII. — Staw księdza Opata (dokończenie). — Drzeworyty: Złota brama w Kijowie. — Szlachcie z gub. Kijowskiej w podróży, rysunek J. Chełmońskiego.

Wysiłki bez poparcia.

„Eh! alboż u nas można co zrobić? Alboż u nas warto co podnosić? alboż te wszystkie projekty i nawoływania przydadzą się na co?”

Nieraz zapewne obili ci się czytelniku o uszy te apodaktyczne frazesy, i nieraz zapewne pomyślałeś sobie w duchu „tak, prawda, trudno u nas na polu spraw ogólnych coś zrobić, trudno dany projekt przeprowadzić w praktykę, bo częstokroć przy najpiękniejszych projektach, najgorętszych i najlepszych dążnościach, następuje w rezultacie zniechęcenie — i opadają ręce.”

W istocie tak u nas bardzo często, tak najczęściej nawet się dzieje, ale kto temu winien?

Ciężkie warunki i okoliczności zewnętrzne, odpowiedzą nam jedni; brak wytrwałości, po-

wiedzą inni; brak środków materyjalnych, dodaje jeszcze ktoś trzeci, a każda z tych odpowiedzi będzie miała słuszość za sobą, ale słuszość względną.

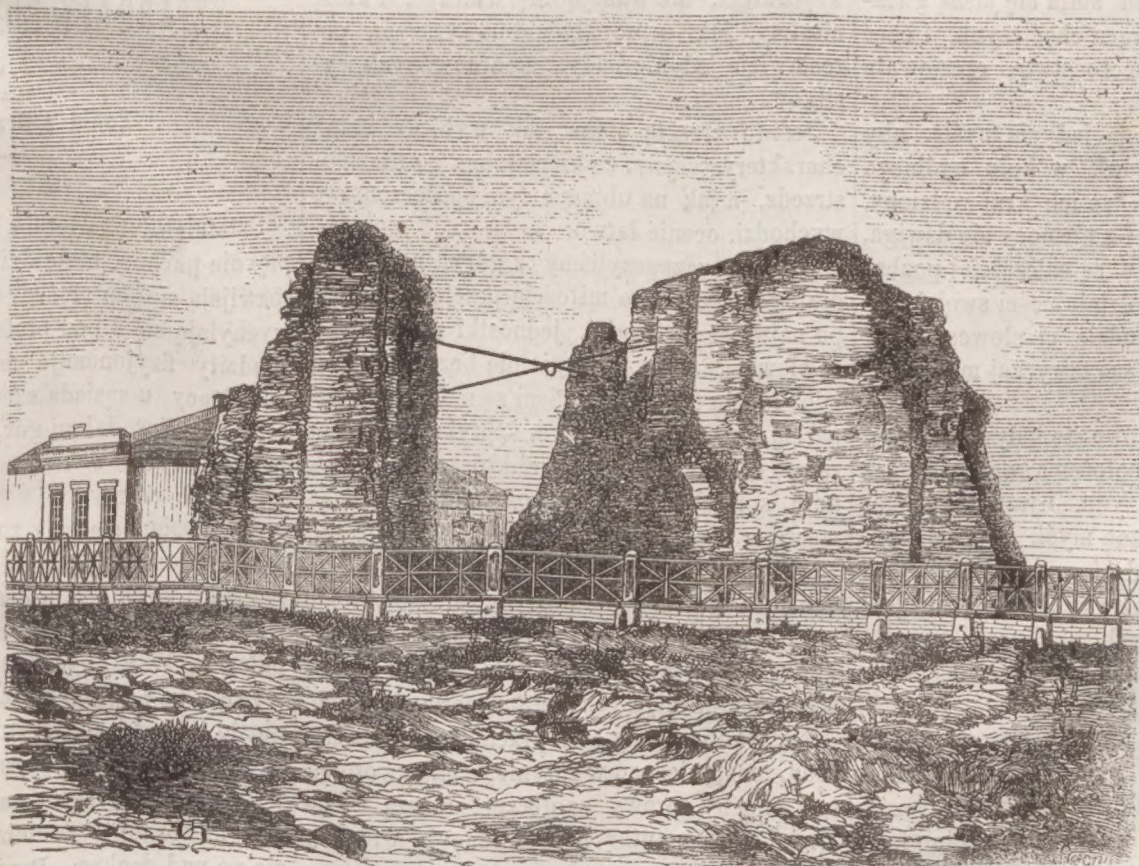
Przyznajemy, że ciężkie są warunki naszej

jeszcze coś zrobić. Że brak wytrwałości stanowi naszą wadę, to także fakt uznany ale prawdą jest niemniej, że nieraz jednostki z wytrwałością żelazną upadają i giną, przygniecione ciężarem zawodów ze strony tych, dla których pracę

swoję w zakresie świętych celów społecznych poświęciłyby radzi. Co się wreszcie tyczy środków materyjalnych, prawda, nie jesteśmy bogaci, lecz czyż mimo to nie marnuje się u nas wiele zasobów, dla dogodzenia błaznów i bezmyślnej próżności, wtedy gdy takowe na ołtarzu dobra społeczeństwa własnego złożono nemi być winny?

Ostatecznie więc i ściśle rzecz biorąc, przyznać wypadnie, że jeżeli u nas setki ogólniejszych projektów przepada-

ją bezpłodnie, i jeżeli najlepsze nieraz chęci i wysiłki jednostek idą na marne, to objaw podobny musi być wynikiem głębszych ja-



Kijów. — Złota brama.

kichś wpływów i przyczyn, że słowem obok ciężkich warunków, obok braku wytrwałości i braku środków materialnych, musi istnieć, coś, co owe apodyktyczne „alboż u nas można co zrobić“ z goryczą i jakby mimowolnie powtarzać nam każe.

Przedewszystkiem więc rozważmy nieco bliżej, kto u nas na polu spraw ogólnych usiłuje się krzątać, i kto tem samem dla pożytku społeczeństwa pragnie coś zrobić?

Czy ci, którzy od społeczeństwa w którym żyją otrzymali najwięcej stosunkowo materialnych korzyści, i którzy tym sposobem, do pracy obywatelskiej najsilniej są obowiązani?

Niestety w tem właśnie sęk, że się u nas wprost przeciwnie dzieje. Większość *naszych możliwych* (mówimy o większości, bo wyjątki i tutaj się zdarzają) zasklepiona w ciasnem kole albo własnego sybarytyzmu albo własnych *gescheftów*, wie tyle o sprawach i potrzebach ogółu, ile ogół wie o sprawach i potrzebach... księżycy; czyli że na działalność społeczną ludzi bogatych, wpływowych, nikt u nas nie liczy.

Natomiast jednostki, które względem społeczeństwa, najlepszymi zdają się być ożywione chęciami i które najsilniej, lepszej doli dlań pragną, jednostki takie z innej sfery pochodzą, i nad ich też genezą oraz charakterystyką ogólną zastanówmy się chwilke.

Kiedy przed laty kilku w zakresie interesów społecznych, obudził się jakiś ruch wybitniejszy, i kiedy myśl podźwignięcia się z biedy, zdawała się do różnych warstw przenikać, wtedy poczęły tu i owdzie, zarówno na polu literatury jak i zajęć praktycznych, zarówno w pojedynczych gałęziach pracy przemysłowej, jak i w danych instytucjach prywatnych, występować coraz liczniej, jednostki dla których miłość postępu stała się jasną gwiazdą przewodnią, a gorąca chęć czynu, i chęć przysłużenia się społeczeństwu, opanowała całą ich istotę moralną.

Ludzie tacy oddychają jedynie myślą, aby działalność swoją wpleść w koło ogólnego pożytku; aby widzieć, że ich kraj rodzinny, ku lepszemu podąża, i z niemocy się dźwiga, ale niestety, ludzie tacy są najczęściej pozbawieni, dla rozwinięcia działalności swojej, pozytywnej podstawy, ludzie ci słowem, przy bogactwie duchowem, są zazwyczaj materialnie ubodzy.

Jeżeli więc wyjątkowe te indywidua, bez względu na ów ostatni położenia swego warunek rwą się jednak do czynu, i jeżeli wyczerpują wszystkie siły, aby daną myśl, ogólniejszego znaczenia, przeprowadzić w świat rzeczywistości, to najczęściej też wypada im albo uleść pod przemocą trudnych okoliczności, albo wyrzec się z góry swoich pięknych idei, i pograć w apatyczną drzemkę.

Oto np. młody człowiek p. Q. jest urzędnikiem w jednej z instytucji prywatnych i widzi aż nadto jasno, że los kilkuset jego towarzyszy pracy, jego kolegów, mógłby w ten lub inny polepszyć się sposób; że przy rozumnem wzięciu się do rzeczy, moralny i materialny byt otaczającej go klasy pracujących jednostek, mógłby się silniej jakoś zabezpieczyć i podnieść.

Pan Q. przeto występuje z inicjatywą utwo-

żenia, dajmy na to własnej „biblioteczki urzędniczej“, uorganizowania, czy też zreformowania kasy, w której urzędnicy mogliby składać lub składać swoje zaoszczędzone fundusze i t. p.

Z początku inicjatywa pana Q. budzi żywe niby zajęcie; następnie jednak inicjator spotyka z jednej strony, jako *nowator* i „człowiek niepokojny“ (!) poważno-dygnitarską niechęć, z drugiej... obojętność.

Wszystko to jednak nie zdaje się pana Q. zrażać, bo przed nim widnieje cel szerszej działalności społecznej, bo pan Q. pragnie coś zrobić dla ogółu swej braci. Waleczy więc wytrwale i przyzywając na pomoc całą swą odwagę cywilną, zagląda śmiało w oczy usiłującym zniweczyć jego plany... powagom, usiłuje łamać te i owe przeszkody, lecz w końcu, wyczerpawszy wszystkie siły w odosobnionej walce, pan Q. pozbawiony przez *niechętnych* chleba i skrzywdzony moralnie, pada zniechęcony do dalszej pracy.

Pada, ale dlaczego?

Czy dla tego tylko że był biednym jedynie urzędnikiem prywatnym i nie miał dla przeprowadzenia postępowych swych dążeń dostatecznych sił materialnych.

Nie, nie tylko dla tego?...

Pan Q. padł zwyciężony, bo na drodze swej działalności spotykał obojętność ze strony tych, których dobra pragnął, bo jego praca, była *wysiłkiem bez poparcia*.

Czytelniku szanowny! jeżeli znasz cokolwiek nasze stosunki, rozejrzyj się w koło, a przykładów podobnych nie braknie ci z pewnością.

Znajdziesz je w każdej niemal sferze interesów i zajęć, bo wszędzie trafiają się jednostki, które w imię postępu i miłości dobra swoich współbraci, nie wahają się walczyć, i które niestety, jak w przykładzie powyższym, pozostawiają jedynie ślady... zmarnowanych wysiłków.

Jest to zresztą objaw tak wybitny i tak charakterystyczny, że niepodobna go nie spostrzedz, a jak na objawie tym społeczeństwo wychodzi, ocenić łatwo.

Jak już zaznaczyliśmy z góry, najżywszą dla ogólnego dobra miłością przejęte są u nas po największej części, jednostki niezamożne, są słowem, ludzie materialnie bezsilni. Jeżeli więc ludzie tacy pozbawieni są moralnego poparcia, i na każdym kroku, spotykać ich mają zawody, jeżeli wszyscy ci którzy pragną na polu spraw ogólnych „coś zrobić“, upadać muszą w samotnych bezowocnych wysiłkach, to skąd, w rezultacie dla zaspokojenia owego mnóstwa potrzeb naszego kraju, znaleźć się może jakaś inicjatywa praktyczna? skąd w takim razie oczekiwać można, jakiegoś bodźca postępu i najpilniejszych nieraz reform ogólnych.

Naturalnie wtedy cała praca organiczna narodu, musi wleźć w rutynę, a najżywotniejsze choćby sprawy społeczne, muszą iść *ad acta* i tę też smutną konsekwencją widzimy dziś niestety.

Po chwilach zapału i pewnej niby energii społecznej, nastąpiło niekorzystne bardzo omalenie, które bodajby nas do dawniejszej apatii doprowadzić nie chciało...

A w istocie smutny ten rezultat jest o tyle

bliższym i pewniejszym o ile *summa wysiłków bez poparcia* zwiększać się będzie.

Walka bowiem odosobniona, choćby dla najświętszych celów podejmowana; nawet najodważniejszych nie jest w stanie napędzać otuchą i do wytrwałości zachęcać, to też w takiej walce, w walce przeciw rutynie i zacyfowaniu, poparcia moralnego, nacisku nawet ze strony całych kół interesowanych, koniecznie potrzeba.

Dlaczegoż jednak u nas o warunki te właśnie tak trudno? Miałoby istnieć u nas taka już apatia w zakresie spraw społecznych, że nawet tam, gdzie nieraz pewna klasa jednostek widzi własny interes i własne dobro, nikt nie jest zdolnym poprzecić ich w pierwszych szeregach?.. Miałoby wreszcie zamiłowanie postępu, tak słabo być wśród mas rozwinięte.

Zapewne jest i jedno i drugie; jest apatia, jest i brak zamiłowania rzetelnego postępu, ale obok tego, kto wie czy nie najwięcej znaleźćby można *moralnego tchórzostwa*.

Massy mają poczucie słuszności i prawdy, ale rzadko kto ma dosyć cywilnej odwagi w obronie prawdy tej stanąć; wielu pragnie postępu, ale wyjątki zaledwie czują dość mocy w sobie dla zerwania z zapleśniałą rutyną; wszyscy wreszcie pragniemy polepszenia bytu społeczeństwa własnego; ale nie wielu do polepszenia tego—czynną i energiczną chce przyłożyć rękę.

Tym to więc sposobem obok massy sił marnejących w bezczynie, widzimy same prawie odosobnione porywy, same *wysiłki jednostek*,—*bez poparcia ogółu*.

A czy, pytamy, droga ta daleko nas zawiedzie?...
Jan Jelenki.

SZPARGAŁY RÓŻNOCZESNE.

Z teki zmarłej przyjaciółki

zebrała

Zofija z Brzozówki.

I.

Ostatnich dni kwietnia, 184*r. kiedy bzy tak pięknie pachną, białe dziewczęce listki jaśminu rozwijają się do słońca, a młode pokrzywki wychylają się z pod płotów, obrzydł mi bruk, znudziły fizjonomije miejskie; nawet kos gwizdający u sąsiada szewca, stał mi się nieznośnym. Zażądałam gór, drzew, ryku trzody, świągotu ptaków i szczerego uśmiechu wesołych twarzy.

Wyniosłam się tedy za miasto, do ślicznego białego domku, którego okna wychodziły na rozległy ogród i bitą drogę, a który sąsiadował z domem obszernym zwanym etykietałnie pałacem. W pałacu ludno było i gwarno, zajmowało go bowiem jakieś państwo, co się wyniosło także z miasta, nie wiem tylko dla powietrza, czy dla dobrego tonu.

W okół białego domku zieleniły się bzy, a wyniosłe topole szumiały z cicha, kołysząc się po nad dachem. Drzwi szklane wychodziły z sali do ogrodu, oko ginęło w gestych zielonych kłabach; tulipany, narcyzy, lilije grzały się na słońcu, opłukane wiosennym deszczem bujały co chwila. Lubując się tym widokiem poszłam do ogrodu, przebiegłam go

od początku do końca, witając okolice dawno nie widziane. U stóp ogrodu stały się domki, rzeka, pomniki, kościoły, wieniec rozzielenionych pagórków i mnóstwo ludzi, krzątających się około spraw powszedniego żywota, jak mrówki na wiosnę. Stojąc na wzgórzu, wyciągnęłam do cmentarza ręce: chciało mi się wszystkich zmarłych obudzić; niechby się ucieszyli wiosną, kwieciami, słowikiem, a na zimę legli znowu w grobie... Wśród tych myśli, nad samą głową zaśpiewał mi słowik; zrazu głosił przerywane tryle, próbował gardelka, kołysał się na biezie rozkwitłym, zazierał na wszystkie strony ciekawie, oczki okrągłe jak paciorki zamykał i otwierał, szare skrzydełka rozwijał i związał znowu, nareszcie taki dał koncert, że żaden mistrz nie da równego; mieszkaniem podniebny śpiewał darmo, orkiestrą jego były zefiry.

Wtem ktoś się odezwał:

— Dzień dobry pani.

Odwracam się, a to pan Ficel, gospodarz domu; stary, siwy, kiedyś piękny; exkamerdyner zamożnego domu.

— Czy zadowolona pani z mieszkania, zapytał, czy dzwony kościelne spać pani nie przeszkadzają?

— Co prawda, zbudzą mię niekiedy, ale w takim razie odmawiam pacierz i znowu zasypiam. Dzisiaj ledwo brzask zawitał słowik i dzwony odezwali się razem. Dzwony dla umarłych i dla samotników pobliskiego klasztoru, słowik głosił wiosnę i radość, dzieciom różnego wieku.

— Tak, tak, tutaj jest mnóstwo teraz słowików, ale za dni parę wystraszy ich iluminacja i muzyka; pojutrze bowiem imieniny pani Blanki Küks. Będą „siurpryzy“ i chmary gości. Niebawem ja to lubię co prawda, bo poniszczą drzewa, poobrywają kwiaty; no, ale muszę dobrze zapłacić...

— Któż więc u pana mieszka?

— W drewnianej oficynie mieszka urzędnik jakiś z żoną; biedni to ludzie, ona suchotnica, on syn zamożnych rodziców; ale rodzice wyrzekli się go zato, iż się z biedną mieszczką, w dodatku córką rzeźnika ożenił. Ta hołota brudzi mi cały dziedziniec; rozwiesza na drzewach dziecinne rupiecie, mamka włóczy się z malcem i depeze trawniki. Onegdaj pani Küks przysłała lokaja z rozkazem, aby to tałajstwo nie ciągało się po dziedzińcu gdy ona siedzi na ganku. Ja sam nierad jestem z takich lokatorów, ale cóż począć, kiedy ona potrzebuje świeżego powietrza, byle by tylko nie umarła tutaj, bo śmierć zraża mieszkańców, szczególnie lubiących zabawę.

— Któż mieszka na folwarku?

— Na folwarku żydzi, jacyś kupcy; a pomiędzy nimi jest jedna śliczna żydóweczka lubiąca bardzo książki i marząca o niebieskich migdałach.

— Któż najmuje biały domek graniczący z cmentarzem?

— Jakiś filozof czy poeta, bo sam doprawdy nie wiem. O wschodzie słońca błąka się po ogrodzie, sam do siebie coś gada a czasem pisze siedząc na kamieniu. Musi to być jakiś półfiksat, ale bardzo spokojny i wypłatny człowiek. W suterrenach mieszkają ubodzy,

i tych muszę przepędzić; bo brudzą dom a należności ani wydusić można.

— Gdzież się w takim razie podzieją? Za miastem łatwiej im daleko; tu i chrust i szewski wian dostanie; tu biedne ich dziatki swobodniej mogą sobie pobiegać, w mieście zaduch, niezdrowo...

— Cóż to mnie obchodzić może? Niech śmieciuchy gnieźdzą się w śmieciach. Tylu próżniaków a pracować nikt nie chce; przejeść przez ulicę nie można; bandy dziewcząt obdartych wołają na gwałt: — graficzku! — królu! — senatorze! — daj grosik choćby jeden. Wartoby tę czeredę z miast wypędzić, albo w turmie gdzie osadzić.

Pożegnałam p. Ficla. Brzydki ton jego duszy głuszył śpiew słowika i mroczył zieloność wiosny. I tutaj więc przyszło mi się spotkać z moralną brzydota, lubo dokoła tak było pięknie na świecie. Dzwon wygłosił południe, czas było wrócić do domu. Szłam zwolna topolową ulicą, gdy w tem spostrzegłam, siedzącą na ławeczce młodą i piękną z czarnymi oczyma kobietę. Podeszłam bliżej wpatrując się weń ciekawie; zaczytana niepodniosła jednak na mnie oczu, raz tylko gdy spojrzała w górę, zobaczyłam twarz jej bladą i zsiniałe usta. Na całym obliczu nieznanym rozlany był ból serca i ciała.

Z bocznej ścieżki podszedł ku niej żydek jakiś w racymorowym żupanie i sobolowej czapce; młody, fertyczny, jedną rękę trzymając za pasem, drugą gładząc kędziory złotych pejsów. Przemówił coś po żydowsku a kobieta wstała leniwie, niechętnie, nieodrzekła ani słowa i poszła ulicą do domku nazwanego folwarkiem. Była to zapewne piękna izraelitka o której mi p. Ficel wspominał.

Po obiedzie poszłam do ogrodu z robotką. Na niebie cicho było, błękitno, ani obłoczku nasiąkniętego łzami, ani chmury ciężarnej rozpacz; żaden niepokój nie męczył przyrody, jakby zło usnęło, jakby aniołowie przeżegnali ziemię i spuścili na nią kroplę niebieskiej roskoszy. Modre oczki niezapominajek, ochraniające zielonemi ich rząsy od słonecznego skwaru, otworzyły się zupełnie; nikt nie przejeżdżał drogą, była to chwila wypoczynku bogaczy, gastronomów i pracowitych ludzi. Choć z robotką w rękę, siedziałam przecież bezczynna: myśl moja obejmowała obraz rozwijający się przedemną, obraz uroczysty wskrzeszonej natury, za którą jest w każdym sercu tyle wdzięczności dla Stwórcy!

Gdy tak sobie dumam, znów się koło mnie przemknął cień kobiety, ale tym razem kobiety z dzieckiem na ręku. Cień ten istotny, blady i nikły, usiadł na ławce naprzeciw mnie, tuląc dziecko drżącymi rękami. Dziecię to nosiło także na sobie piętno śmierci; lato-rośl suchotnicy wiedła już w kolebce... Ta kobieta to żona urzędnika o którym mi również wspominał p. Ficel.

— Jakie panima śliczne dziecię, przemówiłam zbliżając się do nieszczęśliwej matki.

— Chorowite bidaństwo, odrzekła stłumionym głosem. Wyniosłam się za miasto, myśląc że oboje odżyjemy tu z wiosną, ale i on i ja niemiemy jakoś więcej codziennie. Mniejsza o mnie, żal mi dzieciny, bo boję się zostawić jej sierotę, dodała łzy połykając.

— Pani dawno cierpiąca?

— Od przyjścia na świat Bolesia. Zresztą choroba to moja dziedziczna, straciłam już dwie siostry na suchoty, a pozostałam sama na to, iżby dostać najlepszego męża, dziecko i pewnością prędkiej śmierci. Smutna to dola, ale nie narzekam na nią. Bóg tak chce, niech tak będzie.

— A czy leczysz się pani?

— Tak, leczę się ciągle; od ust sobie odejmując, płaci małż doktorom i aptece, a że poradzili świeże powietrze wiejskie, najął mi tu mieszkanko, choć p. Ficel zbyt drogo każe płacić sobie za nie. Poczciwy człowiek nie zważa na nie, chociaż krwawo, bardzo krwawo dla mnie pracuje. Ach! jakżebym pragnęła pożyć, aby mu się odwdziżyć za to, odsłużyć, ale i tego Bóg mi widocznie odmawia. Dokoła ludzie się wesela, rosną dzieci i poprawiają się na słońcu, na powietrzu, a moje coraz bledsze, coraz smutniejsze, niknie mi w oczach. Ja też sama nie spać nie jeść nie mogę, chociaż przymuszam się do jedzenia, aby męża nie smucić, a sen udaję dla jego spokojności. Namorduje się ciężko we dnie, niechże choć we śnie odpocznie sobie. Okna sypialnego pani pokoju wychodzą wprost na moje. Jeśli kiedy w nocy zobaczysz jasny promień światła, to będzie błysk gromnicy. Proszę o westchnienie, bo to konać będę ja lub moje dziecię.

W ławych jej słowach nie było nadziei, ale i goryczy nie było. Zamilkłyśmy obie, dziecię zdrzemało, nadszedł młody, jasnego oblicza mężczyzna.

— A cóż Anusiu, jak się masz dzisiaj, przemówił.

— O daleko lepiej, odrzekła tłumiąc kaszel kobieta. Boles się bawił i usnął przed chwilą.

— No, ale idźmy do domu, słońce się zniża a wam obojgu szkodzi wieczorna rosa. Idźmy do domu.

Młoda kobieta chciała się zdźwignąć z ławki lecz ciężko jej to było, oddała dziecko mężowi, ja jej rękę podałam i zwolna odprowadziłam do mieszkania. Podziękowali mi oboje serdecznym uściskiem ręki i weszli do siebie. Budziłam się kilka razy w nocy patrząc z obawą w okno, czy nie widać blasku gromnicy. O świcie wyszedł mąż chorej, narąbał drewno, zaczerpnął wody ze studni, wyprał dziecinne pieluszki, bo sługę mieli jedną i ta chorych pilnuje.

Nazajutrz odwiedziłam nieszczęśliwą suchotnicę. Siedziała przy kołysce. Skoro mnie spostrzegła schwyciła konwulsyjnie za rękę i rzekła z cicha:

— Bolesiowi memu gorzej, ale ja muszę go przeżyć!

Małż w drugiej izdebce stał przy oknie i wzdychał. Widziałam jak łzy ocierał, jak przecucie boleści wybijało się na twarz mężką, piękną pocziwością wyrazem.

Mimo przepych słońca, mimo drzew woniących, co się gwałtem wciskały do otwartych okien, jakaś melancholijna tęsknota, jakaś grobowa atmosfera była w tem mieszkaniu. Dziecię zakwiliło, matka poruszyła kolebkę i zanuciła drżącym głosem: Śpij mi złotko, śpij pieszczotko!

Tymczasem do bramy co chwila zajeżdżały powozy, aż okna białego domku drżały od kół

turkotu. Była to wigilia imienin pani Küks, mieszkającej w pałacu. Kobiety postrojone, młodzież wesoło uśmiechnięta a wszyscy na oko przynajmniej zdrowi i szczęśliwi. Spieszyli składać życzenia bogatej pani, mijali obojętnie ubogi domek, a gdyby nawet zajrzeli doń i spostrzegli ile tu łez, ile bólów, odwróciłby co tchu oczy, bo nędza psuje humor, więc źle oddziaływała na zabawę.

Przyszła doktor, pokiwał głową stojąc nad kolebką, zapisał lekarstwo i wyszedł. Siedziałam cały wieczór z biedakami, po zachodzie słońca wyszłam do ogrodu. Wietrzyk powiewał wonią fiołków, zielona szata łąk srebrzyła się rosą, taka czarująca świeżość, taka młodość w naturze, że schorowanym nawet starcom lepiej się jakoś robiło.

Z ogrodu poszłam na wiejski ementarzyk; pusto tam było zupełnie, grabarz tylko przygotowywał nową mogiłę, wyrzucając piasek wysoko. Smutny to urząd pomyślałam i wyobraziłam sobie cmentarnika zapłakanym i chudym. Jako żywo: dziad był rzeźwy i wesoły, śpiewał przy robocie.

— Dobry wieczór, zawołałam zbliżywszy się ku niemu.

— Wieczór dobry imości, usłyszałam w odpowiedzi.

— Cóż, czy wam nie smutno ciągle przygotowywać groby?

— Ha! Cóż robić? Przyzwyczailem się już do tego.

— Czyście tutejszy?

— Tak, proszę pani. Dawniej chodziłem po prozonom; teraz, dzięki Bogu, mam kawałek chleba, bo to już rok dziesiąty jak pracuję tutaj. Owdowiałem niedawno, mam córkę jedynaczkę, lat piętnastu, poczeiwą dziewczynę. Umie czytać i pisać a teraz uczy się robótek u jednej znajomej mojej na Rajskiej ulicy. A ot leci i ona. Fruziu! Chodźno tutaj, odezwiał się grabarz.

Przybiegła Fruzia, a choć wychowana na grobach, świeża była jak róża, zwinna jak sarneczka. Biegła zbierając kwiatki zasiane na mogiłach, uplotła z nich wianuszek, zarzucała na włosy, uśmiechnęła się do ojca który spojrział na nią rozczulonym okiem i zapytał:

— Czego chcesz moją dziecko?

— A to ojcze, przyszli zamówić mogiłę dla jakiegoś bogatego pana. Dają o kilkadziesiąt kopiejek więcej bylebyś prędzej ją wykopał.

— Cóż im tak pilno u licha? Czy się boją żeby nieboszczyk nieodżył — że go tak rychło chcą schować?

— Nie wiem mój ojcze, ale pilno im coś bardzo.

— Powiedz że zaraz przyjdę.

Fruzia pocałowała starego w rękę, potem uklękła na najświeższym grobie i zaczęła się modlić gorąco. Wesołość dziecinna znikła z jej twarzy, a smętność powlekła dziewczęce lica. Zdjęła wianuszek z głowy, zawiesiła na krzyżu, powstała i odeszła modląc się z cicha.

— Dla niej nie miałbym siły wykopać dołu! Ta dziewczyna, to moje życie, to moje szczęście. Tak, rzekł, muszę umrzeć pierwszy, i gruba łaza potoczyła mu się po twarzy.

Wracałam zwolna do domu, słońce już zaszło, tylko odbłask purpurowy rumienił pomniki. Cień jakiś mignął między szumiącymi

drzewy. Podchodził bliżej, pod krzyżem siedzi kobieta, poznaję w niej izraelitkę, widzianną z rana w ogrodzie. Czarne jej oczy chciały wszystko ogarnąć; widać że całą istotnością utonęła w uczuciach, co były jeszcze dla niej tajemnicą. Po długiej chwili podniosła się i szła zadumana. Ubranej po naszymu niepoznał ani grabarz, ani cmentarne baby. Jakas tylko żebraczka ślepa na jedno oko, obejrzała ją od stóp do głowy i rzekła:

— Do S-go Michała. Jestem cierpiąca, powietrze więc wiejskie jest dla mnie i dla dzieci moich potrzebne. Nie lubię miasta, a muszę codzień jeździć do sklepu, bo jestem kupcową.

Przy furtce ogrodowej rozstałyśmy się z sobą pożegnaniem... do miłego widzenia.



Szlachcie z gub. Kijowskiej w podróży. — Rysunek J. Chelmońskiego.

II.

Gdy ciału w puchach i złości
Motyle serce objęda,
A dusza ugrzęźnie w błocie,
Pajaki żywot opręda.

Dzień piątego maja był dniem imienin pani Küks. Od rana gwar i bieganina. Całe bodaj miasteczko zbiegło się do solenizantki. Cukry, cukierki, przysmaki szły jedne za drugimi. Przekupnie żydowscy znoszą zające i inną zwierzynę, służba uwija się po dzie-

dzińcu, a każde coś niesie, każde czemś zajęte. Wizyt rannych moc nieprzeliczona.

Solenizantka w różowym atłasowym szlafrocuku, w czepku przystrojonym różami, uśmiecha się uprzejmie do wszystkich. Średniego wzrostu, brunetka, oczu żywych, cery śniadej, do pierwszorzędných piękności przez młodzież jest zaliczana. Ułatwiwszy się z gośćmi weszła do kuchni: uśmiech wabiący zniknął; zgniewała się na kucharza, wygderała

Tak przemawiała Blanka, którejby w tej chwili, nikt piękną nie nazwał, a mężczyzna ani słowa nie odrzekł, tylko się patrzył osłupiałem okiem.

— Dzisiaj bal u mnie, proszę żebyś mi się nie włóczył. Onegdaj, podczas obiadu, wszedłeś do salonu i zawstydziliś mnie, boć nie bardzo miła rzecz być żoną waryjaty?

— Jam nie waryjat, jam tylko chory i nie-szczęśliwy...

wszystkiego. Chciałem złożyć tę sumę, poratować biedaka; płakała, padała mi do nóg mówiąc: że się zrujnujemy, przysięgała, że ani połowy nie wzięła, była w rozpacz. Chciała się utopić, on jeszcze ją kochał i ze wstydu, wołał umrzeć niż zdradzić, a nas nikt nie podejrzewał o żadne współnictwo. Nie zapłakała po jego śmierci, a mnie sobie obrzydziła zupełnie. Rozpuściła pomiędzy znajomymi, że mam pomieszenie, że się rzucam na ludzi, że muszę żyć w ukryciu. Onegdaj chodziła po ogrodzie, jakiś modny młokos ścisnął ją za rękę. Patrzałem przez okno i szalałem z zazdrości. Ach! biedny ja biedny! Kiedyś wielu mnie słuchało, dziś nie mogę ować jedną kobietą, rzuciła na mnie czary...

Przerwał te słowa zezowaty sługa, postawił wazeczkę z jakąś nędzną zupą, głęboki talerz z wytęchłym mięsem i rzekł twardym głosem:

— Masz! Jedz! Tylko się nie poderżnij!

Zjadł biedak kilka łyżek zupy, pokosztował mięsa, bawił się z nożem ale się nie zarzął; przywykł do cierpień jak Pińczuk do błota.

D. c. n.

Z KROMKI WYNALEZKÓW.

Szkoło hartowane. — Sztuczne światło do fotografowania w nocy. — Stop naśladowujący srebro. — Rośliny wydające proszek tępący robactwo. — Użyteczność w tej mierze kwasu karbolowego. — Najlepszy lakier czarny. — Kuchnia domowego wyrobu.

Do najużyteczniejszych wynalazków należy niezaprzeczenie szkło nietłuczące się, przedstawiające wielką siłę oporową, szkło które można rzucać bezpiecznie na kamień jak o tem liczne doświadczenia przekonały. Wynalazek ten ma swoją kartę historyczną. Wiadomo każdemu kto tylko miał sposobność poznania pracowni fizycznych, że szkło roztopione a następnie rzucone do wody, rozpryskuje się na mnóstwo ułamków, z których każdy przyjmuje kształt gruszkowaty. Ułamki szkła w ten sposób hartowanego otrzymały nazwę *lez batawskich*. Każda taka łaza jest niepospolitej wytrzymałości, opiera się wszelkiemu uślodowaniu dążącemu do jej rozbicia, a to dzięki swemu hartowi. Jeżeli jednak ułamiemy koniuszec owej łyzy, w mgnieniu oka całość rozprysnie się w delikatny pyłek. Stał hartowana w wodzie zimnej, nabywa wielkiej mocy, ale przytem staje się łamliwą, przeciwnie stał hartowana w oliwie pozbywa się tej łamliwości.

Spostrzeżenia te doprowadziły p. Alfreda de la Bastie do wynalazku, który najniezawodniej odda nam wielkie usługi. Chcemy tu mówić o *szkle hartowanym*, nowy ten wyrób przedstawia siłę oporową pięćdziesiąt razy większą od szkła zwykłego.

Przejdźmy do ciekawych własności szkła p. Bastie. Poznaliśmy czem się ono różni od lez batawskich i stali. W jednym i drugim razie zasada jest ta sama z małą zmianą. Przed hartowaniem szkło wypala się w wysokiej temperaturze, i z łatwością przyjmuje wszelkie mu nadawane kształty. Manipulacja do tego posługująca polega na zanurzaniu szkła w płynie mniej lub więcej złożonym, do któ-

lokajów, przerzuciła wszystko i wróciła do salonu.

Na samym końcu domu, był niewielki pokój o jednym oknie, wychodzącym na wysoki parkan. Siedział w nim człowiek nie pierwszej młodości, oczy miał smętne, przewracał w rękę taliję kart zużytych.

Weszła Blanka, człowiek ów powstał z kanapy, wyprostował się i milczał.

— Czemu się nie umyjesz? obrzydliwy jesteś. Czemu milczysz jak ślup?

— Cicho, bo oddam do Bonifratrów. Pamiętaj, że mi twoje figle wszystkie dobrze wiadome.

I wyszła śpiewając francuską piosnkę, a uśmiech czarowny przyszedł na zawołanie.

Samotnik stał skamieniały szepcąc do siebie:

— Wszak wiedziałam o wszystkim, on tylko znał tajemnicę i poniósł z sobą do grobu. Kochał się w niej szalenie, dawał obce pieniądze, a gdy się o nie upomniał, wyparła się

rego głównie wchodzą ciała oleiste. Płyn powinien być przedtem ogrzany do bardzo wysokiej temperatury, z zachowaniem pewnych ostrożności, aby materyje jego składowe, przedstawiające materiał palny nie zajęły się ogniem.

Szkło w tych warunkach hartowane nabywa nowych wielce cennych własności. Spada ono naprzykład z wysokości 12 stóp i nie tłucze się wcale. Szkło zegarkowe zahartowane metodą p. Bastie druzgotało się pod obcasem buta dopiero wówczas, gdy uderzenia następowały szybko i z wielką siłą. Na wpływ ognia szkło to nie mniej jest wytrzymałem a co więcej przedstawia pewien stopień sprężystości. Cienka blaszka szklana w niedługim czasie daje się w łuk z łatwością wyginać. Przejdźmy do wad przypisywanych nowemu wynalazkowi. Utrzymywano że szkło hartowane pociągnięte dyamentem rozpryskuje się w pył w jednej chwili podobnie jak lzy bawarskie. Jest to wada istniejąca jedynie w wyobraźni nie zaś w rzeczywistości. Doświadczenia odbywane w Niemczech najwidoczniej okazały, że szkło takie można bezpiecznie narzynać dyamentem. Drugim zarzutem jest ten, że szkło hartowane nie posiada przezroczystości, że nie jest jednolitym. Jakkolwiek są to rzeczywiste wady, nie powinniśmy zapominać że wynalazek p. Bastie jest pierwszą dopiero próbą, a tem samem nie ma prawie żadnej wątpliwości że w niedługim czasie ulepszonym zostanie. Najważniejszym zarzutem stawianym szkłu hartowanemu jest jego bardzo wysoka cena, która przecież długo w obec potrzeby pozyskania tak szacownego nabytku, utrzymać się nie może. Zresztą patent wynalazku zapewnia obecnie tę wysoką cenę p. Bastie, która wszakże po upływie kilku lat nie będzie już obowiązywać. Szkło hartowane posługiwać może do najrozmaitszych użytków. Nietylko wszelkiego rodzaju naczynia będą z niego pożądane jako zapewniające trwałość, ale nadto da się zastosować do dachów w oranżeryjach, oszklenia altan ogrodowych, drzwi i wielu innych przedmiotów wyrabianych dziś z drzewa i metalów. Za lat kilka będziemy mogli ocenić korzyści jakie przemysł odniesie z wynalazku p. Bastie.

Nauka prawie z każdym dniem dokonywa odkryć zdumiewających. Niedawno wynaleziono sposób zdejmowania fotografii w porze nocnej, za pomocą sztucznego światła, a mianowicie palącego się siarku węgla w tlenku azotu, obecnie znów Spiller chemik angielski ogłosił, że także samo światło można otrzymać rzucając kawałki siarki na saletrę stopioną w płaskim naczyniu. Niedosć na tem, p. Alfons Riche i Karol Bardy, wskazali środek jeszcze prostszy a mianowicie palenie siarki w tlenie. Światło stąd pozyskane zawiera jeszcze więcej promieni chemicznie działających, niż światło lampy siarkowęgłowej. W manipulacji tej kładzie się kawałek siarki na skorupie glinianej i zapala, utrzymując płomień strumieniem tlenu wypływającego z gazometru. Gdy zachodzi potrzeba od-fotografowania grot podziemnych, tlen zanosi się tam w pęcherzu kauczukowym. W miejscach zamkniętych potrzeba zachować tę

ostrożność aby dymy kwasu siarkowego, wielce dla płuc szkodliwe, uchodziły na zewnątrz stosownie urządzonego kominkiem ciągowym.

Pirsch Baudoin wynalazł obecnie stop (aliaż) naśladowy do złudzenia srebro. W skład tej kompozycji wchodzą następne ciała w ustosunkowaniu przybliżonem. Miedzi 71, niklu 16½, cynku 7, cyny 2½, kobaltu 1¾, glinu 1½ i żelaza 1¼.

Posiadamy proszek perski wygubiający wprawdzie robactwo, lecz nie zbyt tani, świat roślinny dostarcza nam jednak więcej tego rodzaju specyfików daleko ekonomiczniejszych. Tak zwane Jastrunie gruntowe (pyrethrum roseum) krzewiące się w Persyi i Kaukazie i Bagno czyli rozmaryn leśny (Ledum palustre), pospolity na torfowiskach, równie skutecznie niszczą pasorzyty. Rozmaryn leśny jest rośliną odurzającą, młode jego gałązki przed kwitnem suszą się w cieniu, następnie proszkuje na pył, a dalej postępuje się jak z proszkiem perskim. Roztwór kwasu karbolicznego jest bezwątpienia równie dzielnym pomocnikiem w tępieniu dokuczliwych jestestw niepokojących nas w nocy.

Do najpraktyczniejszych lakierów czarnych należy wynaleziony przez p. Formhalsa, przetwór ten składa się 65 części 95% spirytusu, z 8 cz. bielonego szelaku, 8 cz. sadzy ultramarynowej, z 8 cz. sekatywy, 4 cz. palonego umbraunu niemieckiego, 4 cz. pumeksu szlamowanego i ½ cz. błękitu paryskiego. Farby i pumeks mieszają się ze spirytusem, szelak zaś później się dodaje.

Gazeta lekarska podaje przepis na wyrób kumysu. Dla przyrządzenia jego bierze się pięć miar świeżego krowiego mleka, ćwierć funta cukru gronowego i świeżych drożdży objętości orzecha włoskiego. Miesza się to wszystko i ogrzewa na wolnym ogniu do 25 stopni. Po odstawieniu od ognia znówu ogrzewa się masę, następnie wlewa ją do szampanek na dwa palce poniżej szyjki i jak najszybciej korkuje; przez dwa dni potrzeba flaszki co kwadrans dobrze skłócać. Jeżeli kumys jest dobry, to powinien pienieć się jak woda sodowa.

W. N.

LISTY Z ZAGRANICY. J. I. Kraszewskiego.

Życie i kronikarze. — Prace naszego wieku. — Każdy na swym zagonie. — Cywilizacyjne trudy. — Historia. — Zbiór dawny Ukerta, ciąg dalszy. — Dr. Caro i inni. — Nowa historia Niemiec i ich wymagania. — O Troi Schiemanna, odczyt D-ra Sybel. — Dzieje i podania. — Podręcznik biograficzny chiński, Mayersa. — Smok, fenix i żółw. — Liczby kabalistyczne. — Dzieła o Włoszech i Szwajcaryi ilustrowane. — Komedya węgierska z roku 1564. — Kwiaty w podaniach i dziejach Stracza. — Nowe pisma i wydania Laubego. — Powieści Hellera. — Opera narodowa w Londynie. — Mapleson. Nekrologija. — Gustaw von See (Struensee). — Krajobrazów malarz wiedeński Ender.

Cóżbym ja wam nowego i ciekawego mógł donieść, o czem byście już przy dzisiejszem rozpowszechnieniu tak szybkim wszelkich wiadomości, jeszcze nie wiedzieli? Zadanie to

bardzo trudne. Na skrzydłach telegrafów i na listkach dzienników, które para po świecie roznosi, lecą najświeższe nowiny, nie tylko polityczne, ale naukowe, nie tylko to co się jutro ma potwierdzić, ale co jutro nie dożyje, prawdy i fałszu, nauki i szyderstwa... Są to jednak po większej części suche fakty, których znaczenie bardzo rozmaicie tłómaczonem być może, z których jeden tylko Bóg wie, jaką mieć będą istotną wartość i wpływ. Ludzkość, choć sobie pochlebia że idzie świadoma do celu, najczęściej bezwiednie do niego dochodzi, drogami których nie przewidywała. Kronikarz patrzy na fenomena, i jak meteorolog, stara się je tłómaczyć, jak umie... To pewna że rzadko kiedy w dziejach, praca ludzka z takim wyteżeniem sił wszelkich, na wszelkiem polu, jakie zająć może, krzątała się jak dzisiaj. Spójrzmy tylko po świecie, co to za niezmordowany trud po wszystkich kątach. Podróżni, z niebezpieczeństwem życia, zwiedzają nowe kraje, nieustraszeni ofiarami jakie padły, tam gdzie oni idą, na śmierć prawie pewną i przewidzianą, przyrodnicy zamykają się po laboratoryjach, historycy w archiwach; codzień prawie zdobywa się jakaś wiedzy cząsteczka nowa, jakaś siła nieznana, czynnik nieużyty... nowe prawdy odsłaniają się oczom, jako stopnie do odkrycia jeszcze wyższych i jeszcze dalej sięgających... Przekonywamy się codzień, że odkryciom tym nie będzie nigdy końca i że praca bez spoczynku, jest zadaniem naszym.

Wiek nasz, bez wątpienia przygotowuje materiał obfity dla tych co po nim nastąpią, otwórzy wiele dróg nowych, dotąd jednak brak mu ożywczej idei moralnej, co by łupy zdobyte, w całości spożyła i nadała im znaczenie. Materiałnie postęp jest wielki, moralnie ledwie by na upadek nie przyszło narzekać, gdyby nas nie pocieszało przekonanie, iż się ku lepszemu nawet przez gorsze, iść musi.

Ze spokojem więc ducha należy każdemu w swojej sferze pracować i cegiełki znosić...

...a całość sama się złoży!

jak mówił Brodziński.

Francya dotknięta klęskami, odradza się pod biczem bożym, który ją wywiódł z zarozumiałej odrętwiałości. Włochy dobiwszy się samoistności i połączenia, pragną wskrzesić dawną swą duchową wielkość. Niemcy zwycięstw, niespodzianemi może dla nich samych, czują się obowiązane do usprawiedliwienia ich cywilizacyją. Anglija nie chce upaść duchowo choć się rzekła dawnej politycznej przewagi, naostatek narody słowiańskie czują że dla nich przyszła chwila czynnego też wystąpienia na widownię. Szlachetne współzawodnictwo ożywia wszystkich, choć często mniej szlachetnie i złośliwie się wyraża, przez usta namiętnych ludzi. Ruch ten ogólny śledzić, badać jego symptomy, śledzić zwroty, jest zaprawdę zajmującym.

Zacznijmy od najpoważniejszych prac historycznych. Na tem polu przybyło tyle nowego materiału, tyle pojęć nowych, metoda sama badania uległa takim zmianom, że to co się historiją zwało, dziś zupełnie przerobionem, przelaniem być musi... Przybyła cała epoka

przedhistoryczna, jako nowy okres dziejowy, który historiją właściwą łączy z dziejami kuli ziemskiej i zmian jakim ona ulegała. Historyja ludów dawnych obrabia się na nowo na podstawie pomników, jak assyryjskie, przez lat tysiące pokrytych ziemią i zapomnieniem. W zakres dziejów weszły sprawy i rzeczy, które dawniej ledwie zasługiwały na uwagę, a dziś za znaczące symptomata zwrotów, są uważane. Wszystko jest do przerobienia, poczynawszy od Chaldei, aż do... średniowiecznych powieści... Kopią więc jedni w Niniwie i Babilonie, drudzy na polach bajecznej Troi, inni w jeziorach, kryjących całą epokę nieznaną, a każdy dzień coś przynosi do wiedzy przeszłości.

Znakomity historyk Ukert, począł był dawniej na nowo zbiór dziejów pojedynczych narodów, wydawać, obrobionych wedle nowych źródeł i metody. Później jednak, wydawca Perthes zawiesił dalszy ciąg rozpoczętych już dziejów i jakiś czas całe przedsiębiorstwo spoczywało. Wskrzyszono je dziś i prof. W. v. Giebrecht wziął na siebie kierunek ogólny. W sierpniu (końcu) zebrali się w Gotha współpracownicy, rozdzielono między siebie co pozostaje do wykonania, wydawnictwo żywo posuwa się dalej. Dwa tomy nowe wyszły w roku przeszłym, dwa drugie są przygotowane i wkrótce się ukazać mają. Pomiędzy innemi prof. A. v. Reumont z Bonn, daje dzieje Toskanii, a G. Hertzberg z Halli, historiją Grecyi w czasach chrześcijańskich. Na rok 1876 zapowiedziane są jeszcze: dalsze ciągi obu tych dzieł (Grecyja doprowadzona do dni dzisiejszych), nowy tom profesora Caro, Stalina ze Stuttgartu, historija Württemberska, i K. Hildebranda, najnowsze dzieje Francyi. Carlson ciągnie dalej szwedzką historiją do czasów Karola XII, a do nowszych doprowadzić ją ma C. F. Odhner z Lundu. Historiją Danii dopełnia doktor Dietrich Schäfer z Bremy, hiszpańską Fr. Schirmacher (do końca średnich wieków). W dawniejszym zbiorze historija Niemiec J. C. Pfistera wymagała i dopełnienia i nowego obrobienia, ale na to trudne zadanie (bo dzisiejszym wymaganiem Germanów dogodzić, z wielu względów nie będzie łatwem), jeszcze się nie znalazły odpowiednie siły. Wspominaliśmy nieraz w różnych korespondencyjach naszych, jak przesadzone są dziś żądania Niemców, nawet w pojęciach ich przeszłości, która w świetle nowych wypadków, całe im się teraz wydaje odmiennie; potrzeba śmiałego człowieka, któryby nawet z prawdą wziął się za bary, a apologiję napisał, coby zwycięzców zadowolniła.

Gdy mowa o dziejach, nie można pominąć ciekawej i pięknej rozprawy o odkryciach Dra Schliemanna, na polach Troi, przez Dra Ludwika v. Sybel. Autor przypomina tu nam, że dzieje polityczne i legendowe wcale nie są z prawdą historyczną zgodne i że geniusz wieszczu stworzył Troję bajeczną, której szukać byłoby na próżno... To co Dr. Schliemann szczęśliwie wynalazł, ma wcale inne według p. Sybel znaczenie. Tak samo jak na zwaliskach Troi, ludzie wszędzie przeszłość swą ubarwiali, przeistaczali. Dzieje pomieszały się z fikcją, wyobraźnia na tle ich tworzyła, a dziś trudno niezmiennie wydzielić prawdę,

od tego co ją przez długie wieki, zielonemi gałęzmi i kwiatami fantazyi okryło.

Do dzieł przynoszących materyjał historyczny nowy zaliczyć należy, bardzo ważny zbiorek biograficzny, tytułujący się tak mało znanych jeszcze Chin, owego niebieskiego państwa, które w osamotnieniu wiekowem, miało czas rozwinąć się, zamrzeć i dojść do zgrzybiałości. Znany sinolog angielski Mayers, wydał właśnie w Szanghaï. *The chinese Readers manual*. Jest to pierwsze w tym rodzaju dzieło po zapomnianem dziś i niezmiernie rzadkiem, OO. Jezuitów, zawartem w *Memoires sur les Chinois*, w których wizerunki około szesćdziesięciu znakomitości się znajdują. Mayers jest daleko obfitszy i dokładniejszy. Oprócz biografij, jest tu z dawnych rozpraw, badań i chińskich wyciągów Mayersa kilka dodanych, wiele zajmujących. Do najdziwniejszych aberracyi w pojęciach doszli, jak tu widzimy, Chińczycy. Smok (Lung), którego widzimy wszędzie na wyrobach, na sukniach, na obrazach ich, wyraża u nich jakąś potęgę najwyższą, określona w sposób właściwy. Smok jest ze zwierząt boskich najpotężniejszym, po nim idą dopiero Feng, coś naksztalt feniksa, a naostatku Lin i Kwei, zółwie. „Zółw, wedle tradycyi chińskich, powiada Mayers, ma władzę wedle upodobania zmieniać postać, być niewidzialnym i ukazywać się widomie. Na wiosnę wznosi się aż w obłoki; w jesieni zagłębia w wodę. Kwan-tzi utrzymuje że może stać się tak małym jak jedwabnik i rozdać się potem tak, że sobą całe niebiosy i ziemię wypełnia!“. Wszystkie te poczwarne zwierzęta grają w chińskiej mitologii rolę przeważną. Smok jest atrybutem najwyższej władzy na ziemi i tron władcy niebieskiego państwa jest jego siedliskiem, a oblicze jego, obliczem smoka. Mniej może znana od tych zasad, jest teoria liczb, na której się opiera harmonija świata; tej Mayers poświęcił osobny dział w swym podręczniku. Liczby 5 — 8 — 3, są zasadą prawa budowy wszechrzeczy... Chińczycy wedle objawienia, rachują też najczęściej głównych przedmiotów po pięć, trzy i ośm; pięć żywiołów, pięć spraw, ośm zadań rządowych, pięć porządków, trzy cnoty i t. p. Filozofija chińska opiera się na takiej liczbie kabalistycznej... W końcu książki Mayersa są przedrukowane jego tablice chronologiczne, które już w roku 1867 ogłoszone były w rocznikach towarzystwa azjatyckiego w Szanghaï. d. n.

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Kraków, 1 października 1875 r.

Zapomnieliście jakoś o staruszkach Krakowie. Wprawdzie, pisma warszawskie nie skąpią szczegółów z życia tutejszego, ale nieszkodliwoby abyście i wy częściej rzucali okiem na ważniejsze przynajmniej objawy ruchu umysłowego, artystycznego, wreszcie handlowego i przemysłowego w naszym grodzie.

Przez długie lata Kraków uważany był za panteon tylko zabytków przeszłości, a chociaż nietroszczono się wcale o przechowanie tych zabytków, chociaż wiele z nich zaginę-

ło, niemało dostało się w ręce niemieckie, a raczej pruskie, bo jak wiadomo Prusacy zabrali najkosztowniejsze sprzęty, drogie pamiątki i arcydzieła sztuki, ze skarben katedralnego na Wawelu, dość jednak pozostało aby nadać Krakowowi charakter starego grodu, którego odwieczne pamiątki, bo aż z czasów przedhistorycznych, i dziś wprawiają w zadziwienie turystę, zachwycają wielbicieli sztuk pięknych, wywołują głębsze studia archeologa.

Rzeczpospolita krakowska niewiele się przyczyniła do rozwoju wewnętrznego życia miasta. Żył się cicho, bez troski o jutro, bez pracy prawie, bo taniość była wielka, ludność zaledwie 10 tysięcy wynosiła! Handel i przemysł były w zupełnym upadku. Domy, jak np. na jednej z głównych ulic, Floryjańskiej, stały bez okien przez nikogo niezamieszkałe prawie. Główny rynek, dziś tak zdobiący miasto, był nie do przebycia, błocisko straszliwe, które i w lipcu nie wysychało, zalegało do koła Sukiennice, otoczone mnóstwem drewnianych chałup.

Przeobrażenie Krakowa datować trzeba od lat 15, kiedy się oczyścił i przyozdobił potrosze, a wiele rzeczy musiał na nowo tworzyć, bo, jak już wspomnieliśmy, owa rzeczpospolita niewiele zdziałała dla ulepszeń niezbędnych, dla wzrostu ludności, dla rozkrzewienia handlu. Najważniejsza zasługa rzeczypospolitej to urządzenie plantacyi do koła miasta, prawdziwej ozdoby Krakowa, którą szczycić się może, a nie wiele miast w Europie mogą się pochlubić podobnem urządzeniem.

Ludność Krakowa od lat 10 zwiększać się zaczęła znakomicie. Brak mieszkań, a szczególnie wygodnych i po europejsku urządzonych dawał się czuć niezmiernie. Magistratura miejska, według nowych statutow, na mocy praw konstytucyjnych urzędowa, dopomagała usilnie przedsiębiorcom i oto zaczęły się wznosić nowe gmachy, potworzyły się nowe ulice, przedmieścia rozsunały się, a w miarę wzrostu ludności, którą już dziś na 50 przeszło tysięcy liczyć można, wzrastała i liczba nowych domów. Ale bodaj że największa ich liczba albo już stanęła, albo jest na dokończeniu, w roku bieżącym. Liczą ich do 150. W liczbie nowych gmachów znajdują się i prawdziwie piękne pod względem architektonicznym, wielkie i wspaniałe. Większość wszakże nie odznacza się starannością wykonania, ściany cienutkie, budują bez myśli o jutrze, a wypadki zapadnięcia jeszcze przed ukończeniem domu, powtarzają się dość często. Niezważając na coraz znacniejszą ilość przybywających domów, mieszkania zawsze są w cenie i stosunkowo bodaj że droższe niż w Warszawie.

Przedsiębiorcy wznoszący nowe domy, są po największej części przybysze, czasowi mieszkańcy Krakowa. Sam wzrost ludności pochodzi nie z Galicji, nie z Krakowskiego, ale także z przybyszów z dalszych prowincyj. Jeśliby ci wszyscy wrócili do rodzinnej zagrody, nie wiemy zaprawdę ktoby załudnił Kraków. Stąd życie obecne miasta nazywają sztucznem, nie mającem gruntownej podstawy na przyszłość. Kraków połączony sieciami kolei żelaznych z całym światem, nie produkuje jednak nie prawie własnego, coby go wzboga-

cało i dawało możność prowadzenia handlu zamiennego. Nie mamy zgoła fabryk, któreby wyrobami swoimi imponować mogły gdzieindziej. Rzemiosła w najopłakalszym stanie. Taniósć na wszystko wielka, ale za to przedmioty nabyte, choć na pozór dobrze wyglądające, nie są długotrwałe. Przybywających do Krakowa wabi ta taniósć, przekonywają się wszakże bardzo prędko, że lepiej jest w Warszawie zapłacić daleko drożej, a mieć materiały dobre i gruntowny niż tutejsze tanie lichoty.

Bankructwa kupców z chrześcijan dość częste. Chrześcijanin kupiec nie wytrzymuje konkurencji z żydem krakowskim. Bo też trzeba wiedzieć, że takich żydów, jak w Krakowie, żydów—łapserdaków, bodaj nie ma już nigdzie na świecie. Ale taki łapserdak, który za 10 centów cały dzień z rodziną przeżyje, ma pełen trzos w kieszeni, a choć lichwa dobrze już jest znana wszędzie i nie koniecznie pomiędzy żydami tylko, wszakże krakowscy żydzi doprowadzili ją do najwyższej potęgi, bo tu za 100, 120% jest rzeczą zwyczajną.

Trzeba oddać sprawiedliwość tutejszej magistraturze, że w żadnym jeszcze roku nietroszczono się tyle o wygodę mieszkańców i systematyczną niwelacją miasta rozpoczęto w rozmaitych miejscach i kierunkach, bodaj czy nie poraz pierwszy od założenia Krakowa. W głównym rynku i na całej ulicy Szpitalnej, prowadzącej do dworca kolejowego, mamy już wyborne chodniki asfaltowe. W innych częściach miasta, gdzie już stanęły wspaniałe gmachy, z których wyszedłszy jeszcze na wiosnę tego roku, trzeba było brnąć po kolana w błocie, mamy już teraz wyborne trotuary. Są i takie ulice, z dobrze urządzonego chodnikami i przeprowadzonym gościńcem bitym, przy których nie ma jeszcze ani jednego domu, nie ma nawet i komunikacji żadnej z innymi częściami miasta; ale to dla zachęty nowych przedsiębiorców, aby się budowali na przyległych do nowych ulic pustkowiach. Nie pomiarkowali jednak ojcowie miasta, że przez to ceny na place przy tych ulicach znacznie się podniosły. Brak wielki robotnika umiejętnego zapewne był przyczyną, że chociaż w kilkudziesięciu miejscach rozpoczęto niwelację i przeprowadzenie chodników, nigdzie prawie roboty w zupełności nie skończono. Zapewne, że niepodobna jednocześnie burzyć domy, regulować ulice i przeprowadzać chodniki. Dość, że się wzięto gorliwie do pracy i miejmy nadzieję, że w niedalekiej przyszłości połączenie dalszych części, przy których wzniesiono nowe domy, że środkiem miasta, nastąpi niezawodnie.

Daleko systematyczniej prowadzi roboty około upiększenia i rozszerzenia naszych plantacji Dr. Alek. Kremer. Roboty szybko postępują, a wykonanie nie do życzenia nie zostawia. Na wiosnę jeszcze odsłonięty został pomnik wzniesiony ze składek publicznych Straszewskiemu, jako głównemu przewodcy urzędzenia przed laty plantacji, na miejscu dawnych gruzów ściany obwodowej miejskiej.

Książę Czartoryski zamierza przenieść znaczną swą bibliotekę, zbiór rękopismów i muzeum zabytków do Krakowa. Dla umieszczenia tych zbiorów miasto odstąpiło księciu bramę

Floryjańską z basztami i przyległymi zabudowaniami, należącymi do bardzo starożytnych. P. Bolesław Podczaszyński zrobił plan restauracji tych zabudowań, do stosownego umieszczenia zbiorów naukowych. Plan ten jednak podobno odrzucony został przez księcia, który sprowadził na ten cel głośnego budowniczego z Paryża p. Violet le Duc. On tedy ma utworzyć nowy plan urządzenia odpowiedniego gmachu. Wątpić wszakże można, żeby i ta znakomitość zdołała coś dogodnego utworzyć z tych murów. Brama Floryjańska ze swoimi basztami i zabudowaniami stanowi drogocenny zabytek, który godzi się przechować od zagłady. Najstosowniejsem byłoby, jak to projektował professor Łepkowski, urządzenie tu muzeum miejskiego. Rzeczywiście, Kraków posiada ciekawe zabytki, znamionujące jego przeszłość odległą. Oprócz magistratu, każdy cech miejski posiada prastare, bardzo ciekawe buzdygany, buńczuki, buławy, chorągwie i inne przedmioty, jako godła rozmaitych urzędów i dostojności. Wszystko to leży dziś w ukryciu w gospodach cechowych. Jest jeszcze wiele ozdób i ornamentów, dużo starożytnych kafi z herbami, rozrzuconych po domach prywatnych. Zebranie i uporządkowanie tego rodzaju zabytków, z dodaniem jeszcze bardzo znacznej ilości starożytnych nadeń, przywilejów królewskich i t. d. mogłoby utworzyć bogate muzeum, ciekawe i pouczające dla każdego, a miłe i cenne dla mieszkańców krakowskich, którzy tak się szcycą swoją przeszłością. Brama Floryjańska z basztami byłaby zupełnie odpowiednią ku temu; lecz nigdy nie odpowie zadaniu, umieszczenia bogatych zbiorów ks. Czartoryjskiego, szczególnie, jeśli szanowny właściciel, jak tego spodziewać się można, zechce swoje zbiory zrobić przystępnymi dla każdego i w każdym czasie, jeśli urządzi stosowną czytelnię, w którejby życzący pracować mogli nie w pewnych tylko godzinach, jak to się dzieje w bibliotece Jagiellońskiej, ale dzień cały i wieczorami, kiedy pracujący mają najwięcej wolnego czasu. Dobrze poinformowane osoby mówią, że gdyby ks. Czartoryski taką samą sumę, jakiej wymaga restauracja tego gmachu i zakupienie domu pijarskiego przyległego, dla zburzenia go i otworzenia widoku, użył zechciał na wzniesienie nowego domu w dogodnym miejscu, lub zakupienie i stosowne urządzenie jednego z większych domów w głównym rynku, — zbiory jego znalazłyby stosowniejsze, stokroć dogodniejsze dla publiczności pomieszczenie.

Pisma warszawskie szeroko pisały o projekcie restauracji starożytnych Sukiennic w Krakowie podług planu p. Prylińskiego. Plan ten potwierdzony został w ten sposób, że uchwalony w zasadzie — wymagał zupełnego przerebudowania. Otóż z powodu restauracji Sukiennic i owego planu p. Prylińskiego, opowiadają taką anegdotę: gdy wspomniany przez nas pan Violet le Duc obejrzał plan, oraz dwa wielkie doły wykopane już na wapno, zrobił złośliwą uwagę, że dwa doły to za wiele, bo jeden byłby dostateczny, a żeby do niego włożyć plan Prylińskiego i napowrót ziemią zasypać. Bądź co bądź, ale po pięcioletniej gadaninie, naradach i projektach, podobno na seryjo myślą przystąpić do odbudowania Sukiennic, gdyż oprócz

owych dołów na wapno, już jedna strona Sukiennic deskami odgradzona, już nawet i szopy wzniesiono dla robotników i na składy materiałów. Kto był choć raz w Krakowie ten się zgodzi, jak ważnem jest odbudowanie Sukiennic dla ozdoby, a może i wygody miasta.

Do największych i wspaniałych gmachów w Krakowie, należy pałac biskupów krakowskich. W pamiętnym wielkim pożarze Krakowa spłonął i ten pałac, a od tego czasu stoi i do dziś dnia ruderą, nieużyteczną nikomu i szpecącą miasto. W jednym tylko skrzydle mieści się wystawa sztuk pięknych. Lokal ten wyporzadzony został własnym kosztem towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Dawno już znikły bogactwa niezmiernie biskupów krakowskich, a od lat wielu nie ma i samego biskupa, administrator zaś rządzący diecezją mieści się w prywatnym najętym mieszkaniu. Rudera owa jest własnością rządu. Otóż obecnie prezydent miasta Dr. Zybkiewicz przedsięwziął krok energiczny i stanowczy: na mocy prawa jakie mu przysługuje czuwania nad gmachami w mieście, aby były w stanie przyzwoitym i niebezpieczeństwem nikomu niezagrożały, zaważwał odpowiednie władze rządowe aby się zajęły restauracją tego pałacu, w przeciwnym bowiem razie miasto zmuszonym będzie uznać ten pałac za opuszczoną ruderę i przystąpić do rozebrania go.

S. L.

BEETHOVEN.

Fantastyczna charakterystyka.

Poświęcona wszystkim miłośnikom muzyki i wielbicielom wielkiego męża,

przez

Ernesta Ortlepp.

Przetłumaczył z niemieckiego

H. B.

(Ciąg dalszy.)

II.

Dziewiąta symfonia Beethovena.

I.

Spacer.

Pewnego pięknego wiosennego wieczoru, siedział samotnie przez pola człowiek, już w porywającym wieku. Często zatrzymywał się on w zamyśleniu, czasami siadał, opuszczając głowę na piersi i gubiąc się w marzeniach o dawno minionych pięknych czasach. Dusza jego była przepełniona niewypowiedzianym smutkiem; jeszcze raz westchnął za tem wszystkim, czego nigdy nie posiadał, i dwie jasne łzy stoczyły się po jego policzkach. Jego serce było tak smutnem, a świat tak pięknym; wieczór był tak różowo rozpromienionym, a cała ziemia zieleniła się i kwitła... Wszystko w około tętniło życiem, wrzało i świeciło radością; ale on był smutnym bardzo. Już całe lata upłynęły od czasu gdy po raz ostatni słyszał był głosy swych ulubieńców: słowika i kukułki; w około niego, powietrze drgało tysiącem wesołych pieśni, ale jego ucho muzyczne było zamkniętem dla wszelkiego dźwięku. I wtenczas to uczuł się zupełnie wyłączonym z wszelkiej radości, przepełniającej całe stworzenie, uczuł się samo-

tnym i odosobnionym, jakby wcale nie należał do ludzi, którzy ani pojmowali jego wewnętrznych rokoszy, ani też zważali na jego ból.

Stała mu przed oczami dusza jego luba, która go zapomniała, i jego serce na nowo się rozdarło. Wspomnił przyjaciół swoich..... i nieprzyjaciół, którzy mu boleśnie dokuczyli; widział w duchu wszystkich tych możliwych i bogatych, którzy nie umiając go zrozumieć, obojętnie i dumnie go omijali lub mu się z ciekawością przyglądali.... Spojrzał na miasto, które nie umiało ocenić jego dzieł. Wtenczas owładnęła nim głęboka niechęć. Nienawiść i wściekłość pomieszały nieharmonijnie wszystkie jego łagodniejsze uczucia: ścisnął pięści, przekleństwa zawisły na jego ustach, i jego pierś, zwykle przepelniona słodyczą i miłością, zaczęła się wzdymać i wrzeć jak wulkan, brzemienny zniszczeniem i zagładą.

Pomyślał o swej młodości, gdy jego surowy ojciec zamykał go do ciemnej komory, ale również stała mu w pamięci jego czuła matka, i na jej wspomnienie, jakby niebiański promień oświecił ciemności, otaczające jego duszę. I wróciły mu w duchu wszystkie te godziny, gdy przeczuwając przyszłą swą wielkość, zapoznany i nie widziany przez nikogo, gorzko płakał w swoim kącie, walcząc z rozstrojem myśli. Ale uśmiechająca się zorza wieczorna opowiadała mu także o wszystkich tych pięknych chwilach, gdy niesiony na skrzydłach artystycznego zapału, wzbijał się wysoko po nad pył ziemskiej świetności i znikomej nędzy.

Widział on w duchu, postacie swych prześladowców, jak z ironicznym uśmiechem przesuwali się obok niego, i słyszał jak szeptały sobie o tem, co on miał w sobie najświętszego i boskiego: „to zupełnie nic!”

Ale tuż obok znów, ujrzał miły i przychylnie uśmiechający się obraz „ojca Haydna,” i serce mu stopniało w słodkim uczuciu.

I pogrążył się głęboko w sny słodkie; wyobraźnia rysowała mu mnóstwo miłych obrazów. Gdy podniósł w górę oczy, ha! zaprawdę, to nie była mara: rozjaśniony blaskiem pysznego światła wieczornego, stał przed nim „ojciec Haydn,” i patrzył na niego okiem pełnem miłości i współczucia.

— Czyliż to ty spuszczasz się do mnie z sfer wyższych? rzekł Beethoven do otoczonej niebiańską aureolą postaci. Czy zbliżasz się do mnie aby mnie odwołać do owej krainy, do której już od dawna wzdycha moja zmęczona i rozdarta dusza? Czyliż ty jesteś zwiastunem mej śmierci, zesłanym w postaci ukochanego i czeigodnego przyjaciela, aby miękką ręką zdjąć z mej zbolątej skroni cierniową koronę, której kolce zawsze mi przebiwały mój wieniec laurowy?

— Mój ty biedny, dobry, zacny i świetny Beethovenie, odparł Haydn z łagodnym uśmiechem, dla czego jesteś tak smutnym? A gdybym też był prorokiem, zwiastującym ci twoją śmierć. Spójrz na mnie i na moją wieczną pogodę! Czyliżbyś nie poszedł chętnie za mną? Czyliż nie osiągnąłeś już celu swego, celu, przed którym znika wszelka ziemska świetność? Czy nie pamiętasz słów, które ci niegdyś powiedziałem: „gdybym jeszcze raz

mógł zacząć, stworzyłbym zupełnie inne, nie-równie większe dzieła; to dla ciebie pozostało!” Moja przepowiednia ziściła się, i teraz z dumą możesz wejść do wyższej nieśmiertelności, gdzie ozdobi cię wieniec bezładnych cierni!

— Jeszcze jedno mam na sercu, rzekł smutnie Beethoven. Nie mogę spokojnie opuścić tego świata bez wyśpiewania, mej *pieśni łabędziej*; wiem, że w niej wyczerpię swe siły, ale też potem spokojnie umrę!

— To ci jest przeznaczonem, odparł Haydn z uroczystą powagą. Oznajmiam ci, że nie doczekasz przyszłej wiosny, ale potem będziesz mieszkał ponad gwiazdami, i z zachwyceniem będziesz przysłuchiwał się swym własnym symfonijom, których zamknięte twe ucho już dawno nie słyszało; usłyszysz wtenczas melodyjne tony nadziemskiej mowy, tak jak mnie teraz słyszysz!

— O, jakaż to rokosz! zawołał Beethoven, że w tej chwili, jakby przez wyższą siłę, słyszę dźwięk twej mowy. Pomyśl drogi przyjacielu, czy mogło mnie spotkać coś gorszego? O, daj mi odpowiedź, czy rzeczywiście uda mi się wyśpiewać moję pieśń łabedzią, zanim umrę?

— Wyśpiewasz ją, odpowiedział Haydn, i jeszcze po tysiącach lat, dźwięczyć ona będzie. Przynoszę ci do tego siłę i uświęcenie z nieba, aby ten ostatni twój utwór zawarł w sobie wszystko, co jeszcze spoczywa niewypowiedzianem na dnie twojej duszy, aby tenże był obrazem twej istoty. Będzie to utwór, z początku zapoznany i potępiony, potem przeczuty i podziwiany, następnie zrozumiany i umiłowany, a w końcu uwielbiony i sławiony po wszystkie wieki.

A teraz zechciej przyjąć me pożegnanie, i do widzenia!

Tajemnicza postać znikła. Czy była ona tylko utworem wyobraźni samotnego wędrowca, czy też rzeczywistością?...

Nagle Beethoven poczuł w sobie, że jego twórczy genijusz obudził się jakby z głębokiego snu; wzrok jego dziko i fantastycznie zaczął krążyć po sklepieniu niebios, duszę rozświecały błyskawice, cała istota wrzała chaotycznie. Wyrwał on z zanadru kawał nutowego papieru i napisał figurę z kwint, w szóstkach z A moll: wyraz bojaźliwego oczekiwania i drżącego naprężenia.

— A więc znowu ponuro! zawołał. Wszakże chciałem śpiewać o radości, która zwyciężyła smutek. A jednak czuję, że to jest właściwy, długo szukany początek!

Spojrzał z boleścią na kartkę i schował ją do innych, które już był dziś, podczas przechadzki w otwartym polu, wzbogacił nie jedną piękną myślą. Nagle wstrząsł się pod wpływem silnego wzruszenia i padł na kolana, splótł gwałtownie ręce, podniósł zwilgotniałe oczy ku niebu i zawołał:

— O! słuchu! tylko na kilka chwil jeszcze słuchu! Inaczej nie będę mógł utworzyć. Błagam Cię Stwórcu, wysłuchaj tylko jeszcze tej prośby mojej i dozwól, abym choć tylko na chwil kilka mógł usłyszeć głos wiosny!

I usłyszał głos wiosny. Wśród zachwytu, chciał podnieść się, ale nie zdołał tego uczynić pod wpływem wzruszenia, i dla tego pozostał w postaci modlącego się, na kolanach.

I słyszał miły szum drzew koło siebie, słyszał śpiew skowronka, unoszącego się na wysokościach, i śpiew słowika w gęstwinie, i wołanie kukułki z pod lasu; słyszał szmer strumyka, i szum wodospadu, i grzmot odległej burzy, i brzęczenie żuków, i klarynet pastuska, grającego pieśń....

„Raduj się wielce duszo moja!”

Z cicha, i klęcząc ciągle, zaczął on wtórować pieśni, i łzy trysnęły z jego oczu.

Wszystko koło niego tętnęło i dźwięczało tajemniczem, wszechpotężnem życiem wiosny i radością, twórczą siłą. Nastąpiło rozwiązanie zagadki, o którą kłopotał się w gorączkowem szukaniu: *Wielki hymn radości* był znalezionym.

Ale ta piękna chwila szybko przeminęła. Melodyje wielkiej muzyki natury przebrzmiały, odzywając się w jego uchu coraz słabszem echem; potem wróciła znów ogołocona z wszelkiej barwy, smutna głuchota, i wszystko wokoło niego, było niemem i martwym....

II

N o c.

Już panowała zupełna cisza na ulicach miasta, gdy Beethoven w swoim pokoju, wielkimi krokami samotnie się przechadzał. Lampa, przy fantastycznym blasku której, już tyle utworów wyszło z pod jego pióra, paliła się na stole; przy niej leżał arkusz nutowego papieru; piękny fortepijan, podarunek przysłany z Anglii, na którym Beethoven dopiero co był improwizował — niestety, bez słyszenia ani jednego tonu, — stał jeszcze otwarty. Zewnętrzny świat mistrza się ożywił; odczytał on był dziś znowu w Hoffmana „Fantazyjach” pochwałę swej C moll symfonii; ach! uznanie tak bardzo potęguje siłę artysty!

Przez wiele dni przedtem, męczyła go jakaś obawa i wewnętrzna boleść. Czarne upiory, brzydkie poczwary prześladowały go bez ustanku i miotaly nim po labiryncie wściekłych dysharmonii. Ale teraz unosił się on po nad niemi; czuł, że zapanował nad piekielnymi duchami; czuł, że może je teraz dowolnie przyzywać, że już nie mają władzy nad jego wolną, tryumfującą duszą.

Beethoven, zazwyczaj z pewną obawą przystępował do każdego nowego dzieła; i teraz wahał się on jeszcze; ale zapał coraz więcej go ogarniał, a starsza siostra tegoż, rozważa, uroczu mu się uśmiechała. Rdzeń wszystkich dotychczasowych jego dzieł zaczął się w nim odzywać; wszystkie jego dążności od lat najmłodszych: jego zapał artystyczny i wewnętrzne męczarnie, jego całe istnienie w zupełności nowem okazały się świetle; wszystkie jego samotne i fantastyczne przechadzki stały mu przed oczami duszy, wszystkie marzenia uśmiechały się do niego; dawno pogrzebane nadzieje powstawały z grobów, jakby postacie z bladymi twarzami, i wskazywały ku gwiazdom; pełne męczarni noce, pogodne dni wiosenne, szalone burze, złociste obłoki wieczorne, jasne zorze poranne, srebrzyste mroki księżycowe, piekielne poczwary, cudne anielskie postacie, tańce umarłych o północy, straszne sklepienia grobowe, kwieciste łąki,

czarne otchłanie, niebotyczne góry, mroźne zimy, skwarne lata z odświeżającymi wieczorami, monotonne pustynie, uśmiechające się doliny i pagórki, przyjaciele, którzy dostali pomieszania zmysłów, pogrzebani nieprzyjaciele, pola bitwy pokryte trupami, weseli kmiotkowie w żywym tańcu, przekleci piekła, zbawieni niebios, — wszystko to przemknęło przed nim. Jak szybko po sobie następujące gromy, tak krzyżowały się dziko te fantastyczne obrazy.

Już oddawna przed nim leżała otwarta książka, a w niej Schillerowska „Oda do radości,” i jego genijusz mu powiedział, że ona stanowić będzie tło do jego „pieśni łabędziej;” ale idea całości, dotąd jeszcze nie wystąpiła z mroku przeczucia. Nie chciał on być naśladowcą poety; zamiarem jego było stworzyć coś oryginalnego.

Jak w ogóle dzieła sztuki noszą na sobie zazwyczaj piętno epoki życia, w której je autor tworzył, tak też i tu się stało. Często Beethoven naśmiewał się sam z siebie:

—Pisać „Ode do radości!” i to w czasach twojego smutku, kiedy byłoby ci łatwiej skomponować satyrę na wszelkie radośne uczucia? Z duszą przepełnioną rozstrojem, zgryzotą i nienawiścią ku ludziom, ty? tworzyć „Ode do radości,” gdy jesteś bliskim zwariowania z rozpacz!

Tu, za poszeptem ducha sprzeciwienia, przyszła mu myśl napisania *takiego* dzieła, nad którym muzycy napróbnoby łamali sobie głowy, dzieło naszpikowane takimi trudnościami, że ono nie dałoby się wcale wykonać, albo, gdyby siękto wziął do niego, brzmiałoby okropnie.

Ale teraz, takie myśli wydały mu się niedorzecznymi; jasno już zarysowała się idea całości, do której śmiało mógł wpleść tego rodzaju kaprysy, jako cieniowanie: postanowił bowiem odmalować „wyrażanie się radości z łona rozpacz.”

Radość i rozpacz miały tustoczyć walkę na życie i śmierć, ale w końcu miała zwyciężyć radość; przyczem miała mu się nastęrczyć sposobność wylania całej swej duszy.

Nie chciał on przytem wcale zwracać uwagi na sąd publiczności: chciał *dać* samego siebie i puścić swobodnie wodze swemu genijuszowi w całej jego boskości i całej dziwaczności, gdyż, pomyślał sobie: mistrz, który przez całe swe życie starał się o to, aby świat zachwycić, może też przecie raz zażądać od świata, aby tenże postarał się go pojąć i zrozumieć.

—Tak! zawołał on, teraz, zanim umrę, niechaj się dowiedzą, co mi ciążyło na sercu; odmaluję im w olbrzymich zarysach wielką walkę bólu i radości wszechświata, i chociaż z moich tonów owionie ich moja własna boleść, to niechże zobaczą, że umiem wznieść się zwycięzko ponad ziemską nędzę, podobny do sterczącego wysoko ku niebu kolosu.

I teraz zaczęły się do niego tłoczyć wszystkie instrumenty, każdy ze swą charakterystyczną cechą i barwą, aby pomagać mu przy malowaniu wielkiego obrazu: wesoly, błękitny *flet*, zuchwały jasno-blond *klarynet*, pochlebniący, mruczający, ciemno-brunatny *fagot*, miękka, cienista, zielona *waltornia*, wojowni-

cza, jaskrawo-czerwona *trąbka*, religijny, zmarłych wskrzeszający *puzon*, tkliwe, tęczone *skrzypce*, żałośna, modra *viola*, tęskna, łagodna, fioletowa *wiolonczela*, przejmujący, purpurowy *obój*, wonny, ciemno-goździkowy *rozek*, potężnie dominujący ciemno-czarny *violon*, romantyczny, cygańsko-brunatny *trygon*, jasno-grzmiące *dzele*, gniewliwe, piorunujące, burzliwe *kotły*, — wszystkie one dźwięczały mu nad wewnętrznym uchem, które nie dzieliło losu jego ucha zewnętrznego, i już słyszał w pełnej ich zgodności całą symfonię.

Od niejakiego czasu prześladował go, jakby sztylety, noże i szpilki, cały zastęp nieprzyjaznych kwint; w którąkolwiek zwrócił się stronę, groziły mu one ciągle i powiększały strach jego duszy. Zaklął je tedy w nuty, i wystąpił przeciwko nim uzbrojony mieczem błyszczących akordów z *D moll*; ale nawet ten jego heroizm, był tylko zwycięstwem większego smutku nad mniejszym. Kwinty to spostrzegły i wróciły do nowego napadu. Wtemczas anioł przyłożył mu kwiaty do zranionego serca i szeptał słowa pociechy. Coraz więcej ogarniał go słodki czar; w końcu radość doszła do zupełnego wybuchu.

Ale niestety! duchy utracenia bez ustanku wracały. Wprawdzie, przebłytkiwało też znowu *słodkie* cierpienie z niebiańskim płaczem obliczem, ale ponura namiętność, pomarszczona troska, chuda i wyżółkła zazdrość, zielono-oka zawiść, blada, skurozona obmowa, zezowata, jadowita nienawiść, niema rozpacz i wszystkie furyjenocy sprzysięgły się na tego męża łagodnego serca. Ha! i anioł z kwiatami wzrósł wysoko i stanął długim, bladym, olbrzymim upiorem, z wieńcem słomianym na głowie: było to dobrze znane widmo *oblakania*. Z szyderskim uśmiechem, wytrzeszczając zęby, spojrzało ono na niego, mówiąc: „i ja chcę wziąć udział w twojej robocie!”

Nasz muzykalny czarodziej wzniósł w górę oczy: cały pokój był przepełniony dobrami i złymi duchami. Dyjabeł zbliżył się do niego i chciał mu pomódz, o cenę duszy, obiecując, że to będzie dzieło odurzające zmysły. Karły wychylały z kątów swe długienosy i opowiadały o skarbach, które przecie mógłby potrzebować i bez trudu zdobyć. Ale on stawiał szybko krzyżyk po krzyżyku pomiędzy nuty, i przestraszone tem złe duchy musiały się cofnąć.

Wtem zbliżyły się do niego dwie siostry; jedna z nich była w czarnej sukni i z czarną zasłoną na twarzy, blada jak trup i zapłakana. Trzymała ona sztylet w ręku i przeszywała sobie nim ciągle piersi, nie mogąc jednak umrzeć, albo raczej, była już umarłą, choć jeszcze żyła. Druga z nich była przyodziana w różnobarwne szaty, ozdobiona różami, wesoła, śpiewająca, o niebieskich oczach i złocistych lokach. Wszystko w niej teńnęło życiem, a jednak dla *niego*, była ona martwą i jakby dawno pogrzebaną.

Obiedwie zaczęły waleczyć o niego; każda z nich chciała go do tamtego świata zaprowadzić. Szczególnie! Wesoła, przestał on kochać, a do umarłej, serce go ciągnęło. Obie pomagały mu pisać nuty.

Zbliżyła się inna postać i rzekła:

— Zostawcie go, moje córki, ty *zgryzoto*

i ty *radości*; ja, wasz ojciec, łączę w sobie wasze istoty, i dopomogę memu przyjacielowi.

Tak mówił trochę przygarbiony staruszek o nieregularnych ale bardzo zajmujących, z *Gismoll* i *H dur* pomieszanych rysach, który w swem spojrzeniu wiele miał podobieństwa do „ojca Haydna” i do Sterna. Usiadł on przy Beethovenie na zwykłym swem miejscu i opowiadał o schadzce jaką sobie naznaczyła konwulijaze skowronkiem, o nowym zwiększonym akordzie, którego wziął był za policyjanta, o maskaradach, jakie sobie umarli wyprawiają na ementarzu w *M***, że ten ementarz to właściwie jest salon balowy w *X***, oraz, że ci zmarli, prawdę powiedziawszy, są żywymi ludźmi, okazującymi szczególniejszą tęsknotę do suchot i do trumny; dalej opowiadał o nowowynalezionych pistoletach, grających zaraz po wystrzale najcudniejszą melodyję, o instrumentach muzycznych, które zarazem są klawikordami, kalendarzami i zegarkami, na których w kilku chwilach można zagrać się na śmierć, że przy uderzeniu dwadzieścia razy kreślonego *C* (t.j. najwyższego tonu), człowiekowi temu brakuje, i tenże lekko tkniętym zostaje apopleksyją, o estetycznych zebraniach chrabąszczy, gdzie np. wczoraj bąk, komar i młodziutki chrabąszcz, w wysokim stopniu genialny wirtuoz, po mistrzowsku odegrali ostatnie „Trio” Beethovena, i tym podobne banialuki.

— O, jakże rad jestem, żeś mi przyszedł w porę, rzekł Beethoven. Potrzebuję cię teraz. Patrz, tam jest most, przez który żadną miarą przedostać się nie mogę, tyle tam jest natłoczonych nieprzyjaznych mi istot. Ale z tobą, to mi się uda. Po tamtej stronie, powita mnie kraina szczęśliwych. Proszę cię, prowadź mnie.

— Racz waszmość tylko palnąć *oktawami* w nieprzyjaciół; wszyscy muszą drapnąć do dyjabła, i dla waszmości niebo stanie otworem! zawołał *humor*.

Tak powstało *scherzo*. Już zaczęło świtać. Beethoven przestał pracować.

Tak przesiedział on jeszcze nie jedną noc. Często jego dusza miotła się w nim konwulsyjnie, w cierpieniach, podobnych do tych, jakich doznawały nieszczęśliwe ofiary we wnętrzu byka Phalarisa. Ale bywały też i chwile niebiańskiego zachwycenia.

Najszczęśliwszym czuł się jednak przy tworzeniu ostatniego ustępu symfonii, gdy przy choralnym temacie przypomniawszy sobie klarynet pastuszką, którego głos się rozlegał, gdy w owym cudnym wieczorze wiosennym, modląc się i leżąc na kolanach, usłyszał na chwil kilka wielki hymn wszechświata.

Dzieło, szczęśliwie było ukończonem. Ale nikomu nie chciało się ono podobać, a najwięcej krytykowali go jego najlepsi przyjaciele. Jemu było to jednak obojętnem; zdawało mu się, że utwor ten jest jego największym i najlepszym. Mógł zatem spokojnie umrzeć, co też stało się dnia 27 marca 1827 r. Obie siostry: owa blada z czarną krepią i druga wesoła, z wieńcem różanym, stanęły przy jego łożu śmiertelnem i przeprowadziły go do krainy, którą tak często opiewał w swych tonach.

(d. n.)

ZŁOTA BRAMA W KIJOWIE.

Drzeworyt pomieszczony na tytułowej karcie dzisiejszego numeru Opiekuna wyobraża szczytki murów „Bramy złotej“ w Kijowie. Brama ta jak wiadomo wiąże się z dziejami Bolesława Chrobrego, który w wyprawie przeciw Jarosławowi oblegał Kijów 1018 r.

W r. 1038 Jarosław na Złotej bramie zbudował był cerkiew pod wezwaniem: „Zwiastowania“ a do roku 1699 zachowywał się tu starożytny obraz Matki Boskiej Kazańskiej, przeniesiony następnie do staro-kijowskiej Troickiej cerkwi. Obraz ten w wielkiej był cześć mieszkańców kijowskich a jak się kronikarz tego grodu wyraża, po umieszczeniu go na „Złotej Bramie“, zewsząd stąd radość i błogie wieści płynęły, za powodem modlitw Przenajświętszej Boga-Rodzicy i świętego archanioła Gabryjela, posłannika radości i szczęścia.

Dwa poprzeczne prety jakie widać na rysunku pomiędzy dwoma ścianami, są to dwie grube sztaby żelazne, jakimi w r. 1832 wzmocniono wierzch bramy; spód zaś jej w tym samym roku wzmocnionym został ceglanymi skarpami.

Szlacheć z gub. Kijowskiej w podróży.

Rysunek przedstawia zamożnego obywatela z gubernii Kijowskiej, przejeżdżającego przez ulicę małego miasteczka. Otulony w bundę, z kapturem na głowie a lulką-towarzyszką w ustach, zamyślił się szlacheć o interesie który go w czas brzydki i pomimo jesiennych roztopów wypędził w podróż daleką... A znać to wielkiej wagi interes, bo czwórka dzielnych ukraińskich karosów, kierowana wprawą ręką domorosłego forysia, pędzi co sił starczy rozbijając kopytami dokoła błoto. Wychożący z miasteczka za handlem żydek, spostrzegłszy znajomego mu *jasnego pana*, wita go z widocznym ukontentowaniem, zginając się z ukłonem ku ziemi. Rysunek jak już położony pod nim podpis objaśnił czytelnika, wykonany został przez znanego zaszczytnie naszego artystę malarza, p. J. Chełmońskiego.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

XIII.

Dyjetetyczne przepisy dla osób otyłych.

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

Około 50-go roku życia, a niekiedy o kilka lat wcześniej, u bardzo wielu osób, zwłaszcza prowadzących życie spokojne i przyjemne, zaczyna się odkładać coraz większa ilość tłuszczu (szczególniej do tkanki łącznej czyli komórkowej), przez co grubieją one, albo, jak to mówią, nabierają tuszy. Pełność ta ciała, odpowiadająca dojrzałszemu wiekowi i połączone zazwyczaj z zamyśłowaniem wygod oraz spokoju, może być uważana za zupełnie normalne zjawisko, jeśli nie rozwija się zbyt szybko i nie czyni człowieka podobnym do bezkształtnej masy.

Co innego całkiem jest otyłość. Powstaje ona już za młodu, czasami bardzo prędko i nadaje ciału potworną postać grubości; nie dość

na tem, może ona spowodować mnóstwo cierpień, a nawet o śmierć przyprowadzić (w skutek udaru mózgowego czyli apopleksyi). Dla tego też człowiek otyły, jeśli pragnie zachować swą piękność, zdrowie oraz długie życie, powinien starać się, nie tylko o usunięcie nadmiernego tłuszczu, lecz nadto, po dopięciu rzeczonych celu, o powstrzymanie odkładania się nowych, zbytecznych mass tłuszczowych. Lecz usunięcie to tłuszczu, ma się odbywać zwolna i stopniowo, o czem zawsze pamiętać należy, gdyż szybkie i w krótkim czasie pozbycie się tłuszczu, może spowodować zaburzenia, groźne dla zdrowia, a nawet i życia (udar mózgowy). Z drugiej strony, nie trzeba bynajmniej wyłączać z użycia wszelkich niżej wymienionych tłuszczów i materij do tłuszczów podobnych, albowiem są one rzeczywiście niezbędne do odżywiania narzędzi naszego ciała, oraz do wywiązywania w niem odpowiedniego ciepła; przy tem, poprzestawiane na samych tylko pokarmach białkowych (mięso), nie zawierających tłuszczu, może narazić na inne cierpienia (np. naadnę czyli podagrę).

Przeciwno dwom, przytoczonym dopiero co przepisom, bardzo często grzeszą osoby, postępujące ślepo według metody leczenia otyłości, podanej przez Bantinga; tym sposobem, doprowadzają one sobie różnorodne, niekiedy nawet niebezpieczne choroby, pomijając już to, że skóra ich, w skutek szybkiej utraty tłuszczu, staje się strasznie pomarszczoną. Kto więc chce pozbyć się nadmiernego tłuszczu, niech zachowuje następujące przepisy dyjetetyczne:

Zmniejszenie okładania się tłuszczu można osiągnąć:

- 1) Przez umiarkowane użycie tłuszczów, oraz
- 2) Materij do tłuszczów podobnych czyli tłuszcz tworzących.

Powstrzymanie odkładania się tłuszczu ze krwi daje się osiągnąć:

- 3) Przez odpowiedni ruch (pracę fizyczną), oraz
- 4) Pobudzenie krążenia krwi i sprawy oddychania.

Usunięcie nadmiernego tłuszczu można osiągnąć:

- 5) W części, przez prędsze spalanie za pomocą wdychania znacznej ilości tlenu;
- 6) W części zaś, przez pobudzenie obiegu bogatej w tłuszcz krwi, za pomocą stosownego ruchu, głębokiego wdychania i obfitego użycia wody.

Co do 1-go i 2-go) Dla osób otyłych pożytecznym jest jedynie pokarm, zawierający bardzo mało tłuszczu i materij do tłuszczu podobnych (tak zwanych materij bezazotowych, wodorów węgla), oraz znaczną ilość materij białkowych (t. z. materij azotowych).

Do tłuszczów należą: tłuszcz zwierzęcy (szmalce i łój), masło, żółtko z jaj, szpik z kości, tran rybi i wątrobowy, oleje tłuste.

Do materij podobnych do tłuszczów (wodany węgla), które używamy z innymi materijami pokarmowymi i które wewnątrz naszego ciała (w przyrządzie trawienia, we krwi), rzeczywiście zmieniają się w tłuszcz, należą: wszystkie rodzaje cukru (cukier trzcinowy, gronowy, mleczny), oraz alkoholu i krochmal (w kartoflach, nasionach zbóż, owocach strączkowych, i w sago).

Do materij azotowych, otrzymywanych głównie z królestwa zwierzęcego, należą: białka z jaj, ser, mięso, galareta (klej zwierzęcy), włóknik roślinny (w nasionach zbóż) i legumin czyli sernik roślinny (w owocach strączkowych).

Z powyższego okazuje się, że człowiek otyły powinien głównie unikać wszystkich potraw tłustych, masła, cukru (potraw i napojów, zawierających dużo cukru, oraz różnych korzeni, obfitujących w cukier), pokarmów mącznych, pieczywa, kartofli i mocznych napojów wysokowych, nie wyrzekając się jednak zupełnie tychże pokarmów i napojów. Dyjeta mogłaby być urządzoną, na przykład w następujący sposób: *Na śniadanie:* herbata lub kawa, bez śmietanki i cukru, albo z małą ilością cukru i zbieranego mleka; bułka bez masła, lecz z szynką lub chudem mięsem (np. z ozorem); nie tłusty buljon. *Na obiad:* rosół lub zupa mięsna, byleby pozbawione tłuszczu i przypraw mącznych (makaronu, perłowej kaszy, sago, ryżu); mięso jakiegobądź rodzaju, lecz nie tłuste i w małej tylko ilości masła smażone; ostrygi. Z jarzyn, przeważnie liściaste (jak np. szpinak, kapusta, jarmuż, sałata), natomiast należy unikać korzeni obfitujących w cukier (mianowicie: buraków, marchwi, brukwi, rzepy, kalarepy). Za napój, lekkie piwo i woda z małym dodatkiem lekkiego wina. Kartofle oraz chleb, powinny być używane w małych tylko ilościach. *Po obiedzie:* kawa lub herbata, bez cukru, z dodatkiem nieco mleka zbieranego. *Na kolację:* chude mięso (szynka, ozór), ser nie tłusty, jajka, bułka lub chleb pszenny (lecz bez masła), owoce, lekkie piwo.

Odnosnie do piwa, wypada tu nadmienić, że wiele osób mylnie przypisuje mu własność szybkiego tuczenia ciała; gdyż w piwie (z wyjątkiem chyba obfitującego bardzo w sól), w skutek fermentacji, ulegają rozkładowi prawie wszystkie materij do tłuszczów podobne. Jeśli zaś ludzie, używający dużo piwa, tyją, zależy to nie od piwa, lecz od tłustego pożywienia i leniwego sposobu życia.

Co do 3-go) Spokój cielesny (szczególniej obok zastoju umysłowego i duchowego) usposabia nadzwyczaj do otyłości (o czem przekonują zresztą tuczenie zwierząt); dla tego też człowiek otyły powinien unikać podobnego spokoju. Natomiast ma on używać więcej ruchu. W tym celu jednak, nie jest dostateczną skromną przez kwadrans przechadzka; potrzeba robić dalekie wycieczki, wspinać się na góry, gimnastykować się, jeździć na łyżwach i konno, pływać, grać w kręgle i bilard, rznąć drzewo, pracować w ogrodzie i t. p.

Sen ma trwać nie dłużej, jak tylko 6—7 godzin, gdyż czas ten wystarcza do wzmocnienia ciała, jeśli naturalnie osoba otyła nie utrudza zbytecznie swego mózgu pracą umysłową. Drzemka po obiedzie, powinna być jak najkrótszą.

Co do 4, 5 i 6-go) Pobudzenie krążenia krwi i oddychania, powstrzymuje odkładanie się nadmiernego tłuszczu (pod skórą, w narzędziach wewnętrznych i w ich otoczeniu); nadto, sprawy rzeczzone pomagają do wydalenia, przez spalanie, już nagromadzonego tłuszczu (za pośrednictwem wdychanego tlenu, który roz-

klada tłuszcz nakwas węglany i wodę). Przyczynne to działanie przyspieszonego krążenia krwi i oddychania, daje się osiągnąć przez często ponawiane w ciągu dnia przechadzki na czystym według możliwości powietrzu, przyczem należy głęboko i zwolna wdychać oraz wydychać to ostatnie (najpożyteczniejszymi pod tym względem są przechadzki na czystym, wystawionem na słońce i bogatym w tlen, powietrzu leśnym). Prócz tego, nie trzeba pomijać wskazanych wyżej ćwiczeń ciała, i używać dostateczną do rozrzedzenia gęstej, tłustej krwi, ilość wody. Kto posiada zdrowy żołądek, ten może pić wodę zimną; dla osób ze słabym żołądkiem, stosowniejszą jest woda ciepła. Najlepiej jest pić ciepłą wodę (3—4 szklanek), rano naczecz, przed wyjściem na przechadzkę, lub podczas takowej.

Od głównego swego nieprzyjaciela *udar mózgowego* (apopleksyi), człowiek otyły, jeśli życie dlań jest miłym, może ochronić się, unikając wszystkiego, co utrudnia *odpływ krwi z mózgu* i wzmacnia *przyływ jej* do tegoż ostatniego; o obrażeniach głowy, oraz o wpływie mocnego gorąca lub zimna na czaszkę, uważam nawet za zbyteczne tu wspominać.

Utрудnienie odpływu krwi z mózgu powodują: ciasna odzież na szyi i piersiach, dłużej trwające schyłanie się i podnoszenie ciężarów, sen przy niskiem położeniu głowy, głośny natężony śpiew, krzyk oraz gra na dętych instrumentach, wydymanie się przy zatkanu stolca i przy wymiotach, kaszel, znaczne wysilenie cielesne połączone z przyspieszonym oddychaniem.

Przyływ krwi do mózgu ma miejsce zawsze, ilekroć uderzenie serca zostaje przyspieszonym, jak np. w skutek obfitego użycia napojów wyskokowych (upojenie), mocnej kawy, herbaty, przy silnem wzruszeniu umysłu, zepsuciu żołądka, wysilającej pracy fizycznej i umysłowej (zwłaszcza nocną porą), mocnem podrażnieniu narzędzi zmysłów.

Jeżeli osoba otyła pragnie osiągnąć rzeczywistą korzyść z podanej tu metody pozbycia się tłuszczu, to powinna podług niej postępować nie tylko czasami, raz na rok,—lecz owszem ciągle i przyjąć ją za zasadę swego sposobu życia, a wtedy, nie ma ona potrzeby odmawiać sobie zupełnie wszelkich smacznych, czy to tłustych, czy też do tłuszczów podobnych pokarmów i napojów, byleby używała je z umiarkowaniem.

ŚLADY ŻYCIA.

XLII.

Tyle życia ile w czynie.

Dajcie nam tylko jak najwięcej elementarnych nauczycieli *myślących*, a oświata od razu pójdzie w górę, i dola społeczeństwa całego polepszy się szybko!

Uwagę tę nasunął nam mimowoli, wydany niedawno „Elementarz, obejmujący najpraktyczniejszy sposób nauczania w krótkim czasie czytać, bez poprzedniej nauki alfabetu i sylabizowania.“

Elementarz ten ułożył p. Julijan Polkowski nauczyciel szkoły elementarnej na Pradze,

i z przyjemnością przychodzi nam zaznaczyć, że tego rodzaju trud pedagogiczny [sowiec młodemu pokoleniu, opłacać się może.

Zawsze byliśmy zatem, aby dzieciom oszczędzić czasu i mozółu z sylabizowaniem; ale brak metody praktycznej, zawsze również jak dotąd, na przeszkodzie stawał. Pan Polkowski, pierwszy rzec można przeszkodę usunął, bo elementarz jego, jest właśnie pożądaną metodą ową, która tak nauczającym jak i uczącym się za praktyczne ułatwienie, nauki czytania posłużyć jest w stanie.

Główną myślą metody jest uzmysłowienie niejako dźwięków, z których składają się sylaby, a gdzie zaś dźwięki są, dla doraźnego złożenia wyrazu, nieco przytłudne i co też w szczególności, trafia się przy każdym zbiegu spółgłosek, tam właśnie spółgłoski te odzielone są kreskami.

Tym sposobem dziecko, mogąc wymówić każdy dźwięk z osobna, niepotrzebuje już męczyć się nad składaniem, choćby w myśli nawet, pojedynczych liter, i czytanie samo przychodzi mu z łatwością.

Z tych to więc względów, Elementarz pana Polkowskiego, przy pierwotnem kształceniu, które samo przez się jest pełne „bakalarskiego“ mozółu, jako mozół ten zmniejszający; szerokie zastosowanie praktyczne znaleźćby winien.

Nie możemy natomiast czegoś podobnego, o innym znów, a także dla doraźnego czytania ułożonym elementarzu powiedzieć. Elementarz ten bowiem, którego autorem jest p. A. K., chociaż także opiera się niyb głównie na poznaniu przedewszystkiem dźwięków, to jednakże, dla poznania tego właśnie, pan A. K. żadnych prawie ułatwień nie wprowadził, a nawet same wyrazy dla pierwszego, czyli: raczej doraźnego czytania, najniefortunniej w wielu razach dobrał.

Czyż bo np. dziecko może od razu, bez odzielenia wyraźnego zbiegu spółgłosek, i bez uwzględnienia tym sposobem pojedynczych dźwięków *czytać* takie wyrazy jak np. *szum*, (str. 8) *węch* (str. 14) i t. p? Naturalnie, przeczytać ostatecznie może; lecz czy *namysłanie się nad składaniem wyrazów w myśli*, nie jest prawie takim samym jak głośne sylabizowanie „nakaniem.“

Czy zwracaliście kiedy uwagę czytelnicy na mnożące się w Warszawie kantory wekslu?

Zapewne któżby tego nie widział, co samo niejako rzuca się w oczy, lecz co więcej, to i to było niemniej widocznem, że wszystkie prawie kantory owe były w każdą sobotę zamknięte, a ich właściciele święcili dzień sabatu.

Naturalnie sabat mógł być bardzo niewygodnym i obowiązującym zresztą nawet dla pp. meinów, keinów, steinów borgów i t. p. nie był jednakże takim, to jest ani wygodnym ani obowiązującym dla publiczności, która tak dobrze w czwartki, piątki, jak i soboty, potrzebuje np. zmieniać pieniądze i t. p.

Otóż niedogodność tę usunął choć w pewnej części p. *Poraziński*, zakładając *kantor wekslu* na Krakowskiem Przedmieściu.

Jest to więc pierwszy kantor chrześcijanina, który stając śmiało do konkurencji z falangą kantorowiczów mojżeszowego plemienia,

staje tem samem w rzędzie najbardziej w stosunkach naszych handlowych, pożądanym pionierów. Pionierom tego rodzaju, życzymy zawsze wytrwałości, a przy wytrwałości, szczęścia! Takich też wreszcie pionierów, ogół dobrze myślący, z zasady popieraćby powinien, a że poparcia tego i kantor p. Porazińskiego dozna, niewątpimy bynajmniej.

Żydofile i adwokaci żydowscy, gotowi nas „szarpać“, nazywając wzmiankę powyższą tendencyjną reklamą. Tak, ani słowa; tendencji tego rodzaju nie wypieramy się wcale. Nie znając p. Porazińskiego odzywamy się jednak z całą życzliwością o jego przedsięwzięciu, bo pragnęlibyśmy gorąco, aby przykłady podobne przestały się raz przecie do wyjątków zaliczać i aby tym sposobem handel nasz z monopolu jednej *wyodrębnionej* klasy ludności, wydobył się raz przecie.

* * *

Mens sana in corpore sano, mówi starych ludów przysłowie; nie ma jednak prawidła bez wyjątków. Za dowód, że są podobne wyjątki, służyła dotąd dyrekcja naszych obu teatrów uporeczywie twierdząca, że nasi autorzy dramatyczni mogą o chlebie i wodzie tworzyć arcydzieła, napełniające kassy teatralne. Długich lat trzeba było, nim zdołała się przekonać że tak być nie może i dziś nareszcie chodzą słuchy o stanowczej zmianie ku lepszemu. Dyrekcja teatrów zamierza jednorazowe honorarium, naturalnie dotąd zupełnie dowolne, zamienić na system tantjemowy. O korzyściach wynikających z podobnej zamiany nie ma co mówić, dosyć powiedzieć, iż system tantjemowy przyjęty jest oddawna we wszystkich pierwszorzędnych teatrach. System ten gwarantuje zdolnemu autorowi prawdziwą wartość jego utworu; publice, jakoś wystawionych sztuk. Z poklaskiem więc witamy pożądaną oddawna zwrót, życząc mu najprędszego zejścia z krainy projektów na pole rzeczywistości.

* * *

Voyage au pays des milliards; pod tym tytułem podróżnik francuzki pan Wiktor Tissot, Szwajcar rodem, ale Francuz z przekonania, wydał opowiadanie z podróży w roku zeszłym po Niemczech odbytej. Ciekawe to ze wszech miar opowiadanie, doczekawszy się w przeciągu kilku miesięcy sześciu wydań, zainteresowało czytającą publikę w całej Europie. „Gazeta Warszawska“, podaje z pracy p. Tissot obszerne sprawozdanie, przytaczając przytem całe ustępy. Pozwolimy sobie przytoczyć jeden z nich, rzucający jasne światło na to, co dotąd zaledwie nie śmiało przepowiadali znawcy nowo pruskiego świata. Robiąc wyprawę dla odparcia najazdu, Niemcy dały się unieść duchowi zdobycy i powróciły do swych ognisk, prowadząc za sobą aryjergardę wad jakich dotąd nie znały. Raz opuściwszy drogi swe prawdziwie cywilizacyjne i humanitarne, Niemcy z powrotem wstąpiły do swych borów; nie znają już swego pracowitego wczasu, zatraciły tradycję starożytnych cnót swoich domowych, stawszy się zdobyczą wszelakich pragnień materyjalnych. Zdaleka wątpiłyby jeszcze można było o tylu symptomatach; lecz przykładając ucho

usłyszymy pulsacyją narodu głęboko nurto-
wanego i niezdrowego.

Ze potężne Niemcy inaczej trochę wyglą-
dają przy bliższym rozpatrzeniu się mamy nowy
dowód. Ustrój państwowy nowych Niemiec
nie chce znać żadnych przegród dla swego roz-
rostu, nawet wtedy, gdy przejście po za ową
linię graniczną jest aż nadto widoczne. Bank
państwowy niemiecki, opierając się na § 13
swej ustawy, otwiera w swych kantorach pro-
wadzenie interesów wekslarskich, a jako wol-
ny od opłat wymaganych od zwykłych weks-
larzy, naturalnie zabija wszelką prywatną
konkurencją, zmuszając wszystkie dotych-
czasowe domy do zamknięcia swych interesów.
Być może że taniej odbywać będzie swe opera-
cje, ale czy państwo choć raz dobrze wyszło,
pozbawiając społeczeństwo jakiejkolwiek ga-
łęzi zarobkowania pod pozorem troskliwości
o jego własne dobro? Bardzo więc słusznem
wydaje się nam pytanie „Gazety Handlowej,”
Dla czego państwo niemieckie tak troskliwe
o dobro społeczeństwa, nie dostarcza mu tań-
szego chleba, niedba o jego nędzne (Berlin)
mieszkania, nie myśli co biedny wyrobnik ju-
tro jeść będzie?....

W muzeum techniczno-przemysłowem kra-
kowskiem dnia 1 października r. b. rozpoczęły
się lekcye malarstwa, rysunków i drzewory-
tnictwa dla kobiet pod kierownictwem Jana
Matejki. Jednocześnie rozpocząć się miały
wykłady na wydziałach hadlowym i gospodar-
skim, jeśli się zebrała dostateczna liczba ucze-
nic. Zapisujące się na wydział gospodarczy
winny wysłuchać poprzednio kursu nauk przy-
rodniczych; wstępnych egzaminów nie ma
wcale i jedynym warunkiem przyjęcia jest
ukończonych lat 16.

Ustawa szkoły technicznej przy warszta-
tach drogi W. Wiedeńskiej i W. Bydgoskiej
została zatwierdzoną. W ciągu pierwszych
trzech lat wykład będzie się odbywał w języku
polskim. O bliższe szczegóły postaramy się
i podamy je czytelnikom naszym w Opiekunie.

Zbliża się pora odczytów, które aby nam
i w tym roku dały światła, światła zwłaszcza
maluczkim!

Idzie o odczyty rzemieślnicze. Pamiętacie
może czytelnicy, ile to w roku zeszłym naroz-
prawiano się o miejscu stałym dla owych dzie-
sięciogroszowych prelekcji. Felijotoniści i
niefelijotoniści radzili, gdzieby znaleźć się
mogła odpowiednia sala, czym kosztem i w ja-
ki sposób mógłby powstać jaki taki budynek
na to, słowem mówiono wiele.

A zrobiono?... O ... o ... bardzo niewiele, bo
raptem nic!

Miły Boże! Toż to gdzieindziej dla klas pra-
cujących, robią milijonowe w celu ich oświe-
cenia wydatki; toż tam zakładają kosztowne
muzea, tworzą bogate gabinety i t. p., a u nas
na postawienie, jednej chociażby „szopy,” tru-
dno przez lat parę się zdobyć!

I niechże kto powie, że to wielkie słowo:
o *świata mass* jest u nas czemś więcej, jak ła-
dnie brzmącym a bezmyślnie wymawianym
frazesem?!

Bądź co bądź jednak pociesza nas myśl, że
i w tym roku, rzemieślnicy warszawscy mieć
będą prelekcyjne uczty, bo już kilku z ze-
szłorocznych prelegentów pracę swoją przy-
rzekło.

Oby więc tylko i inni „ludzie pióra i sło-
wa” poszli za tym pięknym przykładem, i oby
tym sposobem, prelagentów nie zbrakło, a żą-
dny duchowej strawy „świat maluczkich” sko-
rzysta coś przecie.

Jak też świetnie idą nasze sprawy ogólne!

Ot np. przemysłowe muzeum!

Jeżeli się nie mylimy, to od dwóch lat prze-
szło sypały się i na ten również temat żywe
bardzo projekty, ba i sprzeczano się nawet o to
kto pierwszy, myśl utworzenia instytucji,
podniósł.

A po latach dwóch, co się w rezultacie zro-
biło? Doczekano się zatwierdzenia ustawy, i...
i nie więcej.

Doprawdy, to już chyba w oczach „naszych
najserdeczniejszych” nie rekomenduje nas zbyt
korzystnie!

Jesteśmy tak jeszcze niepełnoletni, czy już
tak niedoświadczni, że jednej choćby instytucji
której kraj potrzebuje gwałtownie, nie może-
my własnymi siłami przyprowadzić do życia?

Lecz na Boga! cóż się z owem zatwierdzo-
nem muzeum ostatecznie dzieje? Kto się spra-
wą tą bezpośrednio zajmuje, gdzie jest i co
porabia? Ha, jest tam podobno, jakiś oddziel-
ny, specjalny „komitet,” ale jak większość
złożonych z powag „komitetów,” nie raczy nie
powiedzieć o sobie. Ludzie pytają się cieka-
wie: a cóż z tem od tak dawna pożądanem
muzeum? a gdzie mamy dary i fundusze prze-
syłać? na czyje ręce składać? i t. p., a tym-
czasem, poważny ów komitet milczy.

Oj! szanowne komitetowe powagi! Jeżeli wam
idzie o tytuły jedynie, i jeżeli dla tego tylko,
apatyją swą psujecie najpilniejsze roboty, wy-
rządzając krzywdę krajowi, to warto dopraw-
dy, aby was rozżalony głos opinii raz na za-
wsze wyszydził, a najprzód aby was w specy-
jalną opiekę wziął np. p. Bolesław Prus, pi-
szący wyborne „kroniki” w Kuryerze War-
szawskim.

O! bo pan Pruss, umie kluc do żywego! Jak
np. w swoich „kartkach z podróży” zaśpiewał
siedleckim gryziopiórkom: „jestem sobie panie
kanclerz, kanclerz” to tak, ni stąd ni z owąd
młodzież pleśniejąca przy biurowych stoli-
kach, dalejże myśleć, do czego by się zabrać,
aby i pożyteczniej jakoś pracować i przedmio-
tem drwin nie być. Podobno nawet paru
z panów kanclerzy ma zamiar jąć się kopyta
albo młota.

Piękna doprawdy myśli i oby tylko w czy-
nie, w czynie!, zobaczyć ją można!

Z licznymi w Warszawie i na prowincyi
kółkami amatorów dramatycznych podzielić
się chcemy ważną dla nich wieścią. Jeden
z bardzo zdolnych i bardzo sumiennych ar-
tystów teatrów prowincjonalnych p. Józef
Cybulski, osiedlił się na zimę w Warszawie
(ulica Pańska, 27) i zamierza dawać lekcye
sztuki dramatycznej, poczynając jej ade-
ptom. Oprócz tego p. Cybulski ma zamiar zaj-

mować się na żądanie całkowitem urządzeniem
teatrów amatorskich w Warszawie i na pro-
wincyi, ku czemu długoletnia jego znajomość
wymagań scenicznych, niezawodną daje rę-
kojmię.

Czytelnikom naszym wiadomo, że wkrótce
już bo od czerwca roku przyszłego, obowią-
zywać u nas zaczną nowe ustawy sądowe. Ma
się rozumieć że zapoznanie się z postanowienia-
mi dotyczącymi najistotniejszych praw i odbi-
jających się na najbliższych naszych stosun-
kach prywatnych i ekonomicznych, jest nie-
zbędną dla wszystkich obywateli kraju po-
trzebą. Temi też powodowana względami
„Gazeta Sądowa” w Nr. 42 rozpoczęła szereg
artykułów o reformie sądowej w Królestwie,
z których każdy czytelnik nie posiadający na-
wet specjalnego wykształcenia prawnego,
będzie mógł sobie utworzyć pojęcie o zasadach
na jakich się wsparło nowe prawodawstwo i za-
poznać się z nową charakterystyką reformy są-
dowej. Na pracę tę zwracamy naszych czytel-
ników uwagę, a pewni że wielu z pomiędzy
nich zechce z dobrej sposobności skorzystać,
nadmieniamy że biuro redakcyi „Gazety Sąd-
owej” mieści się przy ulicy Ciepłej pod Nr. 4
nowym; przedpłata zaś kwartalna wynosi
w Warszawie Rs. 1 kop. 50, a na prowincyi
rs. 2.

STAW KSIĘDZA OPATA

przekład z angielskiego.

(Dokończenie).

— Czekajcie, rzekł wikary, lepiej ją za-
nieść zaraz na górę. Ciężko upadła, dodał
zwracając się do żony, i czem prędzej ją poło-
żymy do łóżka, tem lepiej dla niej będzie.

— Czy mogę w czem być pomocnym? za-
pytał nieszczęśliwy Smith.

Wikary podziękował grzecznie, a wzię-
wszy biedną Elsie na ręce jak dziecko, zaniósł
ją na schody, poprzedzony przez żonę, która
pobiegła ze świecą przygotować łóżko. Isott
zrazu poszła za niemi, ale niebawem zawróci-
ła, sądząc że niebezpiecznie było zostawiać
cały dom i dzieci wikarego, na łasce tego po-
dejrzanego człowieka.

— Podobno ja tu nie mam co robić, rzekł
ów nieszczęsny gość. Jutro przyjdę się dowie-
dzić o zdrowie pani Denbigh. A może już
i pana Denbigha zastanę.

— Jak się jegomości podoba, odparła Isott
niechętnie, bo była zła na niego, chociaż sa-
ma nie wiedziała za co. Pan jutro powróci,
jeżeli Bóg da czekać, i jegomość też mo-
głes poczekać ze swoim interesem, jakikoł-
wiek on tam jest, a nie tak śmiertelnie prze-
straszyć moję biedną panią, która to życiem
przyplacić może.

— Ależ ja wam daję słowo, moja kobieto,
że wcale nie wiem jaka była przyczyna zem-
dlenia waszej pani, rzekł napastowany, bro-
niąc się od niezastudzonego oskarżenia. Upe-
wniam was że nie powiedział nie takiego,
coby ją mogło zmartwić lub rozdrażnić. Przy-

szedłem tylko dowiedzieć się o adres jednego z moich przyjaciół, który jest zarazem przyjacielem pana Denbigha, kapitana Claveringa.

Isott właśnie była zajęta zamykaniem okna, ale po tych słowach odwróciła się gwałtownym ruchem i przyskakując do zdumiałego Smitha, wykrzyknęła:

— A kimże wacpan jesteś, żeby przychodzić męczyć tę drogą biedaczkę, jeszcze pod nieobecność mego pana, przypominaniem jej nieboszczyka pierwszego męża!

— Nieboszczyka jej męża! powtórzył przerażony pan Smith.

— A cóż, czy wacpan jeszcze nie rozumiesz? Boże odpuść! ten człowiek jeszcze nie wie co zrobił! Ja wacpanu mówię że kapitan Clavering nie żyje, utonął biedaczysko, a pan Denbigh ożenił się z wdową po nim. Teraz jego-mość wiesz wszystko.

W tej chwili zbiegł ze schodów wikary, i powiedział starej Isott żeby poszła do swej pani, która zaczyna przychodzić do siebie, ale jest ciągle zimną jak trup.

— Czy się jakie nieszczęście przytrafiło Denbighowi? zapytał niespokojnie obcego: po odejściu Isott, ale pan Smith go nie słyszał, tylko stał jak wryty, patrząc przed siebie osłupiałym wzrokiem. Drgnął gdy pan Carter powtórzył swe pytanie, i rzekł szybko, urywanym głosem:

— Wiem że przybycie moje tutaj zupełnie jest nie w porę, ale nie moja w tem wina. Pan jesteś duchownym tej parafii, czy tak?

— Tak jest, odrzekł zdziwiony wikary.

— I urzędnikiem zarazem? Więc mogę mówić z panem. Bardzo mi to boli, ale to sprawa strasznej ważności, i obowiązek sumienia mileżeć mi nie pozwala.

Pan Carter wszedł do saloniku, gdzie jego dzieci zaprzestawszy zabawy, skupiły się w trwożną gromadkę. Poleciwszy jednej ze służących aby je natychmiast odprowadziła do domu, powrócił do apteki, gdzie nieznajomy stał ciągle w tej samej skamieniałej postawie. Wikary nie mógł powstrzymać nerwowego dreszczu, szczególnie gdy ten człowiek najpierw starannie drzwi zamknął, i gdy znaleźli się obadwa sami w tej psepnej izdebce, gdzie ogień na kominku wygasł prawie zupełnie, a świeca zamieniła się w grubą masę stopionego łoju. Lecz pierwsze słowo wyrzeczone przez nieznajomego, zajęło silnie uwagę pana Cartera, i rozmowa ich przeciągnęła się późno w noc, aż ostatnia iskra na kominku wygasła, i blade światło księżyca napełniło pokój. Było już około północy kiedy ich narada przerwana została nagłym otwarciem drzwi, na który to odgłos obadwa zadrżeli jak winowajcy. Była to pani Carter ze świecą w ręku, blada i pomieszana. Spojrzała z widocznym zadziwieniem na nieznajomego, potem na męża, i rzekła do tego ostatniego:

— Czy nie mógłbyś parę słów ze mną powiedzieć? A gdy wyszli oboje do sieni, rzekła zniżonym głosem:

— Czyż nie możesz się raz pozbyć tego człowieka? Ani przypuszczałam żebyś do tego czasu przesiedział zamknięty z nim. O czymże tak długo rozmawialiście? O Johnie, coż się to straszno stało?

— Dowiesz się o wszystkim.

— Może trzeba zatelegrafować do pana Denbigha?

— Musimy zaczekać do rana. Dopiero o siódmej otwierają biuro telegraficzne.

Pani Carter pośpieszyła napowrót na górę, gdzie leżała biedna Elsie.

— Podobno nie mam tu już co robić, rzekł pan Smith. W ciągu dnia będę u pana; a tymczasem wypada mi wstrzymać się z wszelkimi krokami, wszak takie pańskie zdanie?

— Wstrzymaj się pan przynajmniej dopóki nie będziemy mieli jaśniej wytkniętej drogi. A jeżeli też się wykryje że ten nieszczęśliwy wcale nie wylądował w Anglii, ale umarł w drodze, co mogło się stać, chociaż byłoby szczególnym zbiegiem okoliczności, żebyśmy w takim razie nie o nim nie słyszeli; jeżeli mówię takie będzie wyjaśnienie tej całej sprawy, po co ją rozgłaszać i otwierać pole do niedorzecznych plotek? W każdym razie, zacznij pan ostrożnie czynić poszukiwania. A ja rad będę najpierw pomówić o tem z Denbighem.

— Z Denbighem? powtórzył pan Smith zdziwione spojrzenie podnosząc na wikarego. Pan z nim chcesz mówić? — No, zresztą jutro jeszcze pogadamy o tem. Do widzenia.

Wikary pozostał sam ze swemi myślami. A smutne ogarnęły go myśli, gdy usiadł w saloniku przed kominkiem, na którym służące nanieciły świeży ogień. Niebawem jedna z nich przyniosła mu herbaty; a wkrótce dzwonek u drzwi oznajmił przybycie kobiety po którą posłano. Nakoniec przybył i pan Scott, któremu pani Carter ustąpiła swego miejsca przy kółku chorej. Gdy weszła do saloniku, mąż jej przeraził się widokiem jej bladoci. Przysunął jej natychmiast fotel do kominka, i nalał jej filiżankę herbaty.

— Jakże się ma pani Denbigh? zapytał.

— Żle, bardzo źle, niestety! Stan jej tak jest nienaturalny, że mię przeraża. Przez cały ten czas wcale nie przemówiła, zaledwie się porusza, i zimną jest jak lód. Żadnym sposobem rozgrzać jej nie można. O mój Johnie, co to jest? W każdym razie zdaje mi się że odebrała cios śmiertelny.

— Dowiedziała się okropnych rzeczy. To długa historia.

A przysunawszy się z krzesłem do żony, wikary opowiadał jej wszystko co usłyszał od pana Smitha.

Po pierwszym wybuchu zdumienia, pani Carter wysłuchiwała całego opowiadania męża w milczeniu, bez tych pytań i komentarzy któremi zwykła była doświadczać jego cierpliwości. On już przestał mówić, a ona ciągle nieruchomie patrzyła w ogień tlejący na kominku. Po chwili wikary mówił dalej:

— Według mego zdania, trzy są okoliczności które przypuścić można. On mógł umrzeć w drodze; o tem z łatwością przekonać się można. Albo też powróciwszy i znalazłszy swoje Elsie żoną innego, mógł uniesiony żalem i rozpaczą usunąć się jej z drogi, i nie dać wcale wiadomości o swem życiu.

— To niepodobne do Herberta Claveringa, rzekła pani Carter wstrząsając głową.

— Trzecie przypuszczenie jest najgorsze ze wszystkich, ale bodaj czy nie najprawdopo-

dobniejsze. Dowiedziawszy się o swem nieszczęściu, mógł sobie życie odebrać.

Pani Carter znowu wstrząsnęła głową, ale nie mówiła. Mąż jej rzekł zniecierpliwiony:

— Ty zawsze masz swoje pomysły, Mary; powiedzże mi co o tem sądzisz. Ja widzę że robisz swoje wnioski w tym względzie.

— Nie, bynajmniej; na czemżebym je opierała? Więc mówisz że ten człowiek jest pewny przybycia do Anglii owego parowca?

— Tak jest; wyczytał w gazecie datę jego przybycia; powiada że to było 14 stycznia, właśnie dziś trzy lata temu.

— Co? zapomniawszy co było 15-go stycznia tegoż roku? Ja się mylić nie mogę. Nie zapomnę nigdy daty ślubu Elsie, bo to był dzień urodzin naszego Johny, rok natenczas skończył, czy nie pamiętasz? O! mój Boże!

Pan Carter wydał okrzyk bolesnego zadziwienia, mocno tą datą uderzony.

— To zdaje się szczególnie, wyrzekł stłumionym głosem, że ten biedak nie podążył prosto do domu. Kto wie? może przybył tu sąsiedztwo, może do Slowcombe i usłyszał....

Wikary mówił z wolna, a żona jego śledziła wyraz jego twarzy, widziała jak sięgnął brwi, i przesunął ręką po czole, szukając wniosku do którego jej lotniejszy kobiecy umysł przyszedł. Gdy podniósł oczy, spotkał jej spojrzenie, jak gdyby przez pół oczekiwała, przez pół lękała się usłyszeć od niego to, czego sama wyrazić nie śmiała.

— Co myślisz Mary?

— Ja myślę, odrzekła cichym, wzruszonym głosem, ja myślę, że najkrótza droga od Slowcombe prowadzi koło tych drzwi. Przypominam sobie jak Herbert Clavering przybył po raz pierwszy do Sedgebrook, i jak kochał pana Denbigha. I... o! Johnie! mimowolnie staje mi w pamięci przerażająca bladość pana Denbigha w dzień jego ślubu!

— Przecież nie przypuszczasz, że oni się spotkali? Że Denbigh wiedział iż Clavering pozostaje przy życiu? To niedorzeczność!

Dla czegożby Clavering miał się usuwać, gdyby był przybył przed ślubem? A choćby nawet Clavering dał się tak okropnie obłąkać, jakże możesz przypuścić, aby Denbigh był do tego stopnia niegodziwym i na to pozwolił? Człowiek tak honorowy, któremu nie zarzucić nie można...

Tu zamknął wikary, gdyż jego żona, z przytłumionym okrzykiem położyła dłoń na jego ramieniu i wyczytał w jej rozwartych szeroko oczach tę samą myśl, która właśnie i w jego się głowie zrodziła....

ROZDZIAŁ VI.

„Chociaż młyny Pana Boga miały powoli, miały nadzwyczaj mało:

„Chociaż on czeka cierpliwie, zmiele wszystko i nie zapomnianem nie zostanie.
Longfellow.

— Jakże się ma? pytała następnego dnia starej Isott, pani Carter.

— Żyje jeszcze, ale wkrótce Bóg ją do siebie zabierze biedaczkę, to nieulega wątpliwości. Biedne jej dziecko już ją tam poprzedziło.

— Czy urodziło się nieżywe?

— Ani razu nie odetchnęło biedactwo chło-

pieć proszę pani. Biedna pani, zaraz po jego urodzeniu dostała strasznych konwulsyj, a odkaż ją ominęły, nie nie mówi i zdaje się na wszystko nieczuła; pani Baker myśląc że ją tem wyrwie z tego odrętwienia, powiedziała jej o dziecku; ale tak samo kamieńby się poruszył.

— Kiedyż się spodziewacie pana Denbigha?

— Teraz jeszcze pan nie może przyjechać, odrzekła Isott z głupowatym wyrazem twarzy. Może wieczornym pociągiem, ale nie wiem z pewnością.

— Chciałabym odwiedzić panią Denbigh, jeżeli można, rzekła pani Carter postępując ku schodom, ale Isott zastąpiła jej drogę.

— Zalecono nam zupełną spokojność, rzekła patrząc prosto przed siebie, i zakazano przyjmować gości, dodała tak dobitnie, że pani Carter cofnęła się, i rzekła odchodząc:

— Więc nie mogę wejść? Proszę was przynajmniej, abyscie mi zaraz dali znać, gdyby odzyskała nieco przytomności.

Isott dała żądane przyrzeczenie ze skwapliwością osoby, która naprzód postanowiła nie dotrzymać go; a pani Carter oddaliła się zasmucona. Wtedy Isott usiadła przy oknie z którego widzieć można było całą ulicę. Po niedługim czasie odgłos szybkich kroków po zmarzniętej ziemi zwrócił jej uwagę i zaczęła dzwonek się ozwał, ona już drzwi otworzyła i stała naprzeciwko swego pana. Jego wyniosła postawa wydawała się jeszcze pełniejszą siły, po odbytej kilkumilowej przechadzce, a twarz jego jaśniała zadowoleniem powrotu do domu. Przyszedłszy od Slowcombu ścieżką przez pole, nie usłyszał żadnej wiadomości, i kiwnąwszy przyjaźnie głową starej służce, chciał ją wyminąć śpiesząc do żony, gdy Isott uchwyciła go za rękę z siłą której w pierwszej chwili nie mógł się oprzeć, pociągnęła go za rękę do pokoju, i drzwi za sobą pozamykała.

— Panie Filipie, rzekła mimowolnie powracając do dawnego sposobu mówienia, kiedy pan Denbigh był małym chłopczykiem, wszystko się wydało. Wczorajszego wieczoru był tu jeden gentleman, który im powiedział że kapitan Clavering wcale nie utonął; i że tu przybył właśnie przed trzema laty; i wikary wie o tem, i pani Carter wie o tem; ale ponieważ zamykali drzwi, kiedy o tem rozmawiali, nie wszystko słyszałam. Ośmieliłam się otworzyć dziś rano list pana do pani, a kiedym zobaczyła, że pan już nie zdąży odebrać ich telegrafu, i że pan tu będzie prędzej, niżeli się spodziewają, uznałam w tem rękę Opatrzności.

Isott mówiła prędko nie patrząc wcale na swego pana; oglądała obrąbek u swego fartucha i usiłowała pokonać gwałtowne drżenie. Gdyby była podniosła oczy, byłaby widziała, jak zielonkawy cień padł na bladą twarz p. Denbigha; lecz głos jego był tak pewny jak zawsze, gdy zapytał surowo:

— Czyś ty zwaryjowała Isott?

— Nie panie Filipie, rzekła nieco spokojniej, ja nie zwaryjowałam, i pan dobrze wie o tem. Nie będę o to wszystko pytała, o tego nieznanego co tu był owego wieczoru, co pan wie. Nie będę się pytała; to sprawa pomiędzy Bogiem i pańskim sumieniem; ale oni pana będą pociągać, będą, jak Pana

Boga kocham, i tu jest dwadzieścia funtów, o które ani ja, ani Jonatan nigdy się dopominać nie będziemy, i, usłuchaj mojej rady, panie Filipie, weź te pieniądze i uciekaj, uciekaj natychmiast, będziesz to miał na kosztą podróży; bo ja kocham ciebie panie Filipie, zakończyła wybuchając gwałtownym łkaniem; ja kocham ciebie, i zawsze kochałam! O! nie chej panie Filipie moich siwych włosów do grobu zaprowadzić!

Patetyczność namiętnego błagania, drżąca w głosie starej kobiety, dziwną tworzyła sprzeczność z niewzruszoną postawą jej pana.

— Gdzie jest twoja pani? zapytał ze zwykłą swoją porywcznością, odpychając rękę, którą Isott wyciągała ku niemu, pełną swych ciężko zarobionych oszczędności.

— Pani? o panie mój, uciekaj, uciekaj co prędzej! Nie ma co myśleć teraz o pani, ona was nie pozna.

— Moja żona chora! wykrzyknął, i rzucił się ku drzwiom, lecz Isott zastąpiła mu drogę, i znowu uchwyciła go za rękę.

— Usłuchaj mojej rady, panie Filipie, usłuchaj. Biedna pani niedługo już tutaj zagodzi, ale gdyby mogła przemówić, pewnieby ostatnie jej słowa były: uciekaj! uciekaj! Bóg weźmie ją do siebie, kochany panie, tak jak wziął biedne drogie dzieciątko; ale pan, o pan uciekaj natychmiast, bo słusznie czy niesłusznie oni powieszają pana, jak mi Bóg miły.

Filip Denbigh stał jak skamieniały, dopóki stara kobieta mówiła o żonie jego, ale skoro powróciła do tego co się jego samego tyczyło, przerwał jej niecierpliwie.

— Puść mię do twojej pani.

Isott chciała jeszcze stawiać opór, ale on odepchnął ją silnie, i wybiegłszy z pokoju w jednej chwili już był na górze.

W starannie zasłoniętym pokoju chorej cisha panowała zupełna, gdyż pan Scott, przepędziwszy kilka godzin przy niej, oddalił się był na chwilę, przyrzekając powrócić dla narady z doktorem, po którego telegrafowano do Briswicku. Sprowadzona kobieta sama tylko czuwała. Powstała gdy się drzwi otworzyły, i nieszczęśliwy mąż przystąpił do łóżka, i stanął przed nim z rozdartem sercem. Konwulsyje które przez kilka godzin wstrząsały wątłą budową jego żony już były ustąpiły, lecz doświadczone oko Filipa za pierwszym spojrzeniem poznało że żadna nie pozostała nadzieja. Widział śmierć w sztywnym położeniu wyprężonych członków, śmierć w ciężkim i nierównym oddechu, śmierć w kredowej bladej twarzy. Dozorczyni przejęta litością na widok niemej rozpaczki tego człowieka, zaczęła szeptać jakieś oklepne pocieszenia; nie zrozumiał słów jej, ale zobaczywszy dopiero jej obecność, dał jej znak aby wyszła z pokoju. Usłuchała chociaż niechętnie, a gdy się drzwi za nią zamknęły, ogrom bólesci pokonał całą moc duszy Filipa Denbigha; rzucił się na kolana, i z głuchym jękiem ukrył twarz na posłaniu.

Niezmierne wycieńczenie Elsie zapewne jej nadawało pozór bardziej nieczuły na świat zewnętrzny, niż tak było wistocie, bo drgnęła na ten odgłos, blade jej usta poruszyły się, i jakiś błysk przytomności przemknął po jej martwej twarzy, następnie otworzyła szeroko oczy i spojrzała na męża, zrazu błędnym i nie-

pewnym wzrokiem, potem chwilowo zajaśniał w nich promień błędnego zadowolenia z jakim go zwykle witała, lecz natychmiast zmienił się w wyraz niesłychanej zgrozy, i zrobiła wysilenie żeby odwrócić głowę i ukryć twarz w poduszkach. On to tylko widział, że się życie objawiło w jej poruszeniu, i pochylił się ku niej, podając jej łyżkę wzmacniającego lekarstwa, które przygotowane dla niej było. Ale ona zrobiła słabe przeczące poruszenie, a gdy ją chciał nakłonić błagalnie namiętnymi słowy, twarz jej przybrała mocniejszy wyraz zgrozy i wyjąkała ledwie słyszonym głosem:

— Nie mogę, umieram... dzięki Bogu!! — A zebrawszy gasnące siły, spojrzała mężowi prosto w oczy badawczym wzrokiem, przed którym mimowolnie spuścił swój ku ziemi, poczem wyrzekła mocniejszym głosem, z przerażającą spokojnością:

— Filipie, czyś ty go zabił?...

On zaledwie drgnął na te słowa; zdawało mu się że już poprzednio odgrywał całą tę scenę, i wiedział naprzód co ona powie. W tej stanowczej chwili czuł że mu zarówno było nie podobnem skłamać przed konającą żoną, jak zmusić usta do wyznania strasznej prawdy. Powtórnie padł na kolana i ukrył twarz na łóżku.

— O mój biedny Herbert, mój biedny, biedny Herbert! wyszeptała.

Tego już było za wiele dla niego; nie mógł znieść aby jej ostatnia myśl zwracała się do człowieka, który był jego rywalem, którego nienawidził właśnie dla tego, że go tak ciężko ukrzywdził.

— Elsie! wybuchnął głosem stłumionym od gwałtownego wzruszenia, to dla ciebie zostało uczynionem; ja cię tak kochałem, a teraz ty mię nienawidzisz! O Boże! jakże jestem ukarany! Tracę ciebie, tracę ciebie na tym świecie, tracę ciebie i na tamtym!...

— Nie, nie! zawołała, I powiodła ręką po czole, jak gdyby usiłując pochwycić myśl, która jej się wymykała. Nie umiem tego powiedzieć, rzekła jeszcze; słów mi brakuje. Bóg może wszystko przebaczyć, wszystko, nawet...

Uniesiony bezrozumną chęcią wyrwania swego skarbu z objęć anioła śmierci, Filip pochylił się ku umierającej żonie, i porwał ją w swe ramiona, oczekując z rozpaczliwym upragnieniem aby go obdarowała jednym spojrzeniem, jednym pocałunkiem takim jakich mu dawniej nie szczędziła, a jakich już nigdy, nigdy nie miał od niej odbierać, choćby nawet przy życiu pozostała.

Ale gdy dotknął jej zimnej ręki, ta ukochana ręka cofnęła się ze wstrętem; umierająca zdała się zamykać sama w sobie, aby się obronić przed jego uściskiem, i ostatnie robiąc wysilenie, odwróciła się żeby uniknąć dotknięcia ust jego.

Niebawem przybył doktor z Briswicku wraz z p. Scottem. Powitawszy ze smutną powagą swego kolegę, zaczęli rozmawiać po cichu, odwołując się od czasu do czasu, do niego jako do lekarza; ale on spoglądał na nich błędnym wzrokiem, i siadał znowu na sofie w nogach łóżka jak odurzony, opierał ręce na stole i twarz w dłoniach ukrywał. Lekarze stali patrząc z żalem na ten świeży kwiatek w wiosnie życia podeity, czując swą nie- możność przyniesienia jakiegokolwiek pomocy.

Przez okno otwarte w drugim pokoju, docho-
dziły odgłosy zewnętrznego życia, stara Isott
usnęła się na palcach i łzami zalana zajęła
swoje miejsce przy łóżku. Filip Denbigh ani
poruszył się. Cała dusza jego skupiona była
w dwóch myślach, pełnych niewysłowionej
goryczy, że jego żona konała i że ostatniem jej
przytomnem poruszeniem było odwrócić się
ze zgrozą od niego.

On najpierwszy ze wszystkich obecnych po-
znał kiedy słaby oddech konającej ustał zu-
pełnie; ale chociaż serce jego szarpnęło się
gwałtownie w chwili gdy straszna cisza zaległa
pokój, nie poruszył się dopóki jeden z lekarzy
nie położył ręki na jego ramieniu i nie sze-
pnął mu że już wszystko skończone....
Wtedy powstał, chwiejącym krokiem zbliżył
się do łóżka, i oparł się o ścianę, nie zdolny
ustać na nogach. Po chwili spostrzegł że go
pozostawiono samego z umarłą; wtedy rzucił
się na nią wybuchając rozpaczliwym jękiem.

— Boże mój! Boże! Na tożem zaprzedał
duszę moją!

W kilka godzin później, gdy już ukończono
smutne przygotowania, i pokój przybrał zimną
i sztywną czystość towarzyszącą zawsze śmierci,
Isott z podziwieniem ujrzała go wchodzą-
cego tam znowu. Na wybladłej jego twarzy
malował się dziwny wyraz rozpaczliwego po-
stanowienia. Przez chwilę stał z oczyma wle-
pionemi w to martwe oblicze, tak niedawno
jeszcze jaśniejące szczęściem i miłością, tak
kochające i tak ukochane, któremu śmierć
już powróciła zwykły spokojny i słodki wy-
raz. Potem nachylił się ku niej, jak gdyby go
słyszeć mogła i rzekł stłumionym głosem:

— Elsie, ja zbyt ciebie kochałem. Dla tej
miłości zgubiłem mą duszę; ta miłość stała się
dla ciebie przekleństwem i śmiercią. Ale jeśli
teraz słyszeć cię możesz, dowiesz się że cię
kocham bardziej niż kiedy. Jesteś moją, moją
jedynie, i moją będziesz w wieczności, tak jak
i na ziemi; a jeśli prawdą jest to w co ty wie-
rzyłaś, jeżeli Bóg mocen jest przebaczyć, je-
żeli boleścią, męką i śmiercią odpokutować
można zbrodnię, spotkamy się znowu, Elsie.
A gdy się spotkamy znowu, nie odwrócisz się
już odemnie jak to dziś uczyniłaś. Przysięgam
to na ciało twoje, biedna, zamordowana gołąb-
ko moja najdroższa!

Mówił uroczyście, jak gdyby ślub wykony-
wał, potem nie dotknął ani ucałował martwych
zwłok, tylko oddalił się rzuciwszy na nie osta-
tnie, długie spojrzenie.

Wkrótce potem stara Isott, słysząc zamy-
kające się drzwi wchodowe, pobięła do okna
i ujrzała swego pana jak szedł szybkim lecz
niepewnym krokiem ulicą do wsi prowadzącą.

Wikary siedział w swym gabinecie smutny,
zmartwiony, słuchał ze ścięśnionem sercem
opowiadania pana Smitha. Wtem drzwi otwo-
rzyły się nagle, obadwa gentlemani zerwali się
ze swych siedzeń, bo im się wydało jakoby
wywołali ducha z grobowej zaciśzy.

Pan Carter wydał okrzyk podziwienia.

— Denbigh!

— Pan jesteś urzędnikiem, rzekł wchodzący
patrzac prosto w twarz wikarego, i wymawia-

jąc zwolna i dobitnie każdy wyraz, jak gdyby
powtarzał nauczoną lekcję; dla tego przy-
chodzę do pana. Czy szukacie Herberta Cla-
veringa? Zgłębiecie staw księdza opata, a znaj-
dziecie szczątki zwłok jego; tam zginął przed
trzema laty, w dniu 14 stycznia....

— Z własnej ręki?

— Nie, z mojej. Powróciwszy do domu owe-
go wieczora, zastałem go czekającego przed
drzwiami mego mieszkania, bo nie było komu
je otworzyć. Sam przyszedł do mnie. Po-
wiedział mi że nikt nie wie o jego powrocie.
Sam bym go nie był poznał, tak był zmieniony
i zmizerowany. W pierwszej chwili żadna zła
myśl nie powstała w mej głowie. Bóg mi
świadkiem że nie. Chciał pójść zaraz, ale to
być nie mogło, to by ją było zabiło. Zatrzy-
małem go, powiedziałem mu że ona wyjechała,
że bawiła u przyjaciół w Londynie. Sam nie
wiem co mu powiedziałem, chciałem tylko
zyskać na czasie. Postawiłem przed nim je-
dzenie i picie; ustąpiłem mu własnego łóżka;
a odprowadziwszy go do sypialnego pokoju,
wróciłem na dół, i wtedy, wtedy pomyślałem
o jutrze. Usiadłem i pograżyłem się w my-
ślach; nie o siebie, Bóg widzi że nie o siebie
mi chodziło! W tem usłyszałem szelest przy
drzwiach. To był on; powiedział mi że nie
może spać, że stracił sen od czasu jak tak
wiele ucierpiał. Prosił mnie abym mu co dał.
Wskazał na drzwi od apteki, i zapytał mnie
czy nie mam jakiego lekarstwa na sen. Wtedy
objawiło mi się wszystko, nie prędeż; ale pa-
trząc na niego jak stał przedemną, oddając się
w moje ręce, uczułem że mogę go zabić, że
mogę go usunąć z mej drogi...

Przez chwilę ściągnięte brwi nieszczęśliwe-
go i skrzywione usta przybrały wyraźne piętno
Kaina, lecz natychmiast pokonał zbyt wielkie
wzruszenie i mówił dalej przygasłym głosem:

— Skoro wypił zgubny napój, zapytał mnie:
czy jesteś pewny że zasną? odpowiedziałem:
Jak najpewniejszy. A potem.... potem... kiedy
zasnął na koniec — przywiązałem mu ciężki
kamień do szyi i wrzuciłem go do stawu księdza
opata. Oto wszystko co miałem powiedzieć.

W kilka dni później, wikary powracał smu-
tny do domu o zmierzchu, z posiedzenia sądo-
wego w Slowcombe. W tem koń jego stanął
na zakręcie ulicy, i on sam znajdując się w sta-
nie nerwowego rozdrażnienia, drgnął nieco na
widok ciemnej postaci, zaledwie dającej się
odróżnić od kępki drzew pod którem stała. Gdy
ta postać wystąpiwszy na drogę, zbliżyła się do
niego, poznał własną żonę, w chustce na głowie.

— Nie mogłam się już ciebie doczekać, rze-
kła. Jakże się skończyło?

— Tak jak się skończyć musiało, odrzekł
smutnie wikary, zsiadając z konia i biorąc
w rękę uzdeczkę, będzie sądzony, podczas
przyszłych posiedzeń przysięgłych.

— Czy zgłębiano staw?

— A jakże.

— Czy ten nędznik okazuje skruchę, czy
też tak jest żelaznym jak zawsze?

— Mówi jak najmniej, ale przez te ostatnie
kilka dni zmienił się straszliwie. Włosy mu
bielały, i chód ma zgrzybiałego starca. O tak,

Mary, skruszył się zupełnie. Zacieżyła nad
nim kara Kaina, „większa niżli znieść ją podoła.

— Przyzna się naturalnie?

— Jedynem jego życzeniem jest, odnieść
całkowitą karę za swój występki. Ja przypu-
szczam że ta pochłaniająca namiętność, która
owładnęła całą jego istotą, i tak fatalnie
do złego popchnęła, zwraca go na koniec do
dobrego. Pewny jestem prawie, że gdy ujrzał
swą żonę konającą, zrozumiał po raz pierwszy
w życiu, że musi być wieczność wynagradza-
jąca krzywdy i cierpienia doczesne... Przypu-
szczam że go opanowała myśl iż odpokuto-
wawszy swą winę, spotka się z nią po za gro-
bem. Wprawdzie to tylko domysł z mej stro-
ny, on bowiem nie nie mówi. Lecz, drogi Pań-
skie są cudowne i niezbadane....

— Całe twoje współczucie jest dla niego, za-
wołała z pewną wymówką, pani Carter. Czyż nie
pomysłisz wcale o biednym Herbercie Clave-
ringu? Co ja, to jedynie! o nim cały ten czas
myślałam. O Johnie! Cokolwiek spotka tego
nędznika, zasłużył na swój los!

— A kimże my jesteśmy, odrzekł jej mąż
uroczyście, abyśmy sąd na niego wydawali? Powin-
niśmy ciało jego zostawić sprawiedliwo-
ści ludzkiej, a duszę miłosierdziu Boga!

Tak rozmawiając doszli do drzwi probostwa,
a wikary, oddawszy konia czekającemu nań
człowiekowi, odetchnął głęboko, i poszedł do
saloniku, jak gdyby chcąc już skończyć z tym
przedmiotem. Pani Carter zmiarkowała że po-
trzebował się rozerwać po tak ciężkim dniu,
lecz sama nie była w stanie oderwać jeszcze
swych myśli od tego bolesnego przedmiotu, i
pobiegła na chwilę do swego pokoju na górę,
aby nieco przyjść do siebie. Spojrzała
przez okno, i zobaczyła zdaleka światło, któ-
re jak jej było wiadomo, pochodziło ze śmier-
telnego pokoju w opactwie. Wyobraziła sobie
jak tam leży biedna Elsie, ze swoim dziecię-
ciem u łona, biała i spokojna, i jak stara Isott
płacząc i łkając składa śliczną drobną wy-
prawkę, z taką dumą i rozkoszą niedawno
przygotowywaną, a która nigdy już użytą być
nie miała. I to czyniąc stara kobieta myślała
zapewne o innym dziecięciu, które przed trzy-
dziestu kilku laty pielęgnowała, karmiła i pie-
ściła, i wierne jej serce pękało z wielkiego bólu.

Pani Carter otarła oczy i poszła do dziecin-
nego pokoju. Ogień na kominku palił się we-
soło, a w około niego kręciło się troje naj-
młodszych dzieci, które świeże i rumiane po
wieczornej kąpieli, w białych nocnych sukien-
kach czekały aż mama przyjdzie paciorem
z niemi zmówić. Na ten miły widok zadrgało
jej macierzyńskie serce uczuciem wdzięczno-
ści, połączonej z dotkliwym bólem. Dzieci dzi-
wiły się dla czego matka tak serdecznie ich
uściskała, gdy się zgromadziły u jej kolan, i
dla czego tak czule ujęła ich drobne złożone
rączki w swoje dłonie w chwili gdy ich niewin-
ne głosy, nieświadome grzechu i cierpienia,
wymawiały tę prośbę której doniosłości rozu-
mieć nie mogły:

„I nie wódz nas na pokuszenie, ale nas
zbaw ode złego. Amen.“